№ 45. Warszawa, dnia (30 Października) 11 Listopada 1899 roku. Rok XLI.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

Pismo Illustrowane dla Kobiet

PRENUMERATA WYNOSI:

w Warszawie: kwartalnie . . rs. 1. Za odnoszenie do domu *kop. 10.*

Z przesyłką pocztową: kwartalnie . rs. 1.25, półrocznie . „ 2.50, rocznie . . „ 5.—

Adres Redakcyi i Administracyi: Warszawa, Chmielna 26. — Telefon 106.

ZA GRANICĄ: We Lwowie i Krakowie Kwartalnie flor. 1.80, Na prowincyi flor. 2.20. w Poznaniu kwartal. mr. 3, na prowincyi 3.75. W innych państwach związku pocztowego kwartalnie rs. 1 kop. 60 lub walutą zagraniczną podług kursu.

Agencye główne na Galicyę: we **Lwowie** Agencya dzienników i inseratów **St. Sokołowskiego** Pasaż Hausmana l. 9; w **Krakowie** księgarnia **S. A. Krzyżanowskiego.** Agencya główna na Niemcy: **Księgarnia Polska Wiktora Templowicza** w Poznaniu Hotel Francuzki. **Zmiana adresu kop. 15.**

Rękopisów mniejszych Redakcya autorom nie zwraca.

Wiktor Gomulicki.

WYZWOLONA.

Karta z życia.

(Dalszy ciąg).

Jednak tu i owdzie wyróżniali się pięknym strojem i wytwornem ułożeniem młodzi i starzy wykwintnisie — utrefieni, giętcy, z przystrzyżonym misternie zarostem, z zadartymi po szwedzku lub po muszkietersku wąsami, przyglądający się przez monokle równie pięknym i strojnym damom.

Choć dzień letni jasno jeszcze świecił, w otwartych na bulwary oknach zapuszczono do połowy cienkie rolety, i nad głowami biesiadników zapalono wielkie świeczniki, obwieszone mnóstwem błyszczących i dzwoniących pryzmatów. Do sali napływał szum ulicy, szumowi fal morskich podobny, głuszyła go jednak coraz bardziej wrzawa rozmów, po każdem nowem daniu stopniowo wzrastająca. Powietrze było przesiąknięte zapachem kwiatów, wyziewami jadła i—uczonością.

Osobę, dla której, i z powodu której odbywała się ta, niepodobna do innych „sympozya,“ poznawało się od pierwszego rzutu oka. Siedziała na miejscu zaszczytnem, mając przy sobie z jednej strony znakomitość w zielonym fraku z palmami akademickiemi na stojącym kołnierzu, z drugiej zgrzybiałego staruszka, którego sina, na piersi spadająca głowa zdawała się uginać pod ciężarem lat, zaszczytów, sławy i nauki.

Ale i bez tych oznak bohaterka uczty uwagę na siebie zwracała — najpierw wzrostem, pozwalającym jej przenosić głową prawie wszystkich towarzyszów i towarzyszki; następnie nadzwyczajną bladością, która przy wielkich czarnych oczach i czarnej sukni, była aż rażąca; wreszcie wyniosłym wyrazem twarzy, mówiącym każdemu, kto znał się na tem, że ona tu—króluje.

Właśnie przyszła kolej na toasty i mowy, i jeden nie stary jeszcze profesor, uchodzący za krasomówcę i niezrównany w sztuce prawienia pochwał, człek pokaźny, starannie wygolony i władający głosem potężnym, wygrzmiewał na cześć bladej kobiety wspaniały „pean.“

Z prawdziwie francuzką dwornością zaczął od uwagi, że uwieńczenie młodej cudzoziemki „doktorskimi wawrzynami“ przez Paryż, jest wielkim zaszczytem — nie dla uwieńczonej, lecz dla Paryża. On, z krwi i kości Paryżanin, dumny jest dziś ze swego pochodzenia, które mu pozwala splatać wraz z innymi wieniec zasługi dla kobiety, a raczej—dla całego rodu kobiecego. Ta „piękna, o natchnionej twarzy, polka,“ przybyła do starej Lutecyi, aby zwiastować, że „nad lodami jej ojczyzny“ zabłysła zorza nowej, świetnej ery, której królową staje się kobieta. Najoporniejsi muszą uchylić czoła przed spełnionym, wiekopomnym faktem, który na polu genialnych odkryć ducha kobiecego zrównał całkowicie z męzkim.

Mówca bez zająknienia nazwał „faktem spełnionym“ odkryte jakoby i ostatecznie przez uczoną polkę stwierdzone: istnienie życia organicznego na księżycu. Poetyczny obraz tego życia, jaki roztoczył w malowniczym opisie, porwał i rozmarzył wszystkich. Szmer zachwytu przebiegł wśród zgromadzenia..

Ten hołd znakomitych przeważnie słuchaczów, w połączeniu z dobrem winem, czarnemi oczami „doktorki“ oraz upajającą wonią kwiatów, mrących w upalnem powietrzu sali, pozbawiło wymownego profesora naukowej równowagi...

Postanowił uderzyć w najczulszą, bo narodowościową strunę, i sądząc, że dorywcze odczytanie kilku artykułów w encyklopedyi, (którą w tym celu, bezpośrednio przed ucztą przerzucał) dostatecznie go do tego przygotowało, zakończył swą mowę w ten sposób:

— Zważcie, panie i panowie, jak szczodrobliwym okazał się los dla polskiego plemienia. Niegdyś uświetnił go Mikołajem Kopernikiem, dziś zsyła mu Wandę Dalewicz-Cieńską. Możnaby obruszyć się i zawołać: „Stój, losie! Czemuś tak jednostronny? Czemu tak nierówno dary swe pomiędzy narody rozdzielasz?“—ale w pogodnych sferach wiedzy niema miejsca na samolubstwo plemienne! Nie omylę się, gdy powiem, że co Kopernik dla słońca, to genialna jego rodaczka zdziałała dla księżyca. Dopełnili się wzajem; stworzyli w połączeniu dzieło, które przetrwa stulecia. Panie i panowie! Głosy wasze nie sprzeciwiają się mojemu, gdy z tego miejsca wzniosę potrójny okrzyk: „Chwała Kopernikowi! Cześć Wandzie Dalewicz Cieńskiej!“

Grzmotem oklasków podziękowano mówcy. Klaskały nawet „stare peruki z Akademii,“ choć one właśnie powinny były wystąpić z krytyką i opozycyą. Podobno jednak żadna nie słyszała o czem mówiono.

Posypały się dalsze toasty i przemówienia. Naprzemian z mężczyznami, zabierały głos kobiety. Te ostatnie, nastrajające się do wysokiego tonu profesora krasomówcy, nie tylko dorównywały mu w entuzyazmie, ale go jeszcze w nim prześcigały. Dochodzono przytem do ostatnich granic przesady, która jednak nikogo nie raziła, i nadawano całemu obchodowi charakter podniosły, a jednostronny, który zniewolił kogoś do nazwania go „świętem kobiety wyzwolonej.“

Po skończonej uczcie, wszyscy przeszli do obocznego salonu na kawę czarną, likiery i pogawędkę.

Tu dopiero zaczął defilować przed Wandą długi orszak przygodnych entuzyastów i wielbicieli. Co chwila przedstawiano jej jakąś

nową osobistość, z dodatkiem przy nazwisku: „doktór," „profesor," „członek instytutu," „znakomity autor takiego a takiego dzieła," „naczelny redaktor pisma" i t. p., a w braku tytułów naukowych: „członek ambasady," „hrabia," „baron," „książę," i t. d.

Pochlebstwa płynęły za pochlebstwami — jedne od drugich gorętsze, przesadniejsze. Ona pełną piersią wciągała w siebie aromat kadzideł, który ją coraz bardziej upajał, a w końcu sprawił, że była na pół nieprzytomna...

Usta jej, jak usta nakręconego automatu, odpowiadały nieświadomie na pochlebstwa, pozdrowienia, towarzyskie i urzędowe uprzejmości; w mózgu zaś kołowało nieustannie pytanie.

— Jestżem ja w istocie szczęśliwa? Jestże to naprawdę szczęście?..

Wychowaną na cichej prowincyi, przywykłą do życia samotnego, przejmował lękiem ten tłum błyszczący tytułami, sławą, nauką, a w braku tego trojga: okazałością zewnętrzną. Ale maskowała zręcznie wzruszenie, i twarz jej obojętnie wyniosła, nakazywała wszystkim szacunek.

Jednakże chwilami zdawało się jej, że ma przed sobą nie wytworne i ugrzecznione towarzystwo, lecz hydrę wielogłową, która łasi się przed nią pokornie, ale upatruje zarazem chwili słabości, aby—zdusić ją i pożreć...

Wszystko zlewało się przed nią w jedną szarą, jaskrawemi plamami pocentkowaną massę. Słowa mówców sprawiały jej szum w uszach i wydawały się przeciągłem dzwonieniem. Nie rozróżniała osobistości i nie rozróżniała twarzy. Uciskało jej coś mózg coraz silniej, coraz boleśniej, i napróżno goniła za wymykającą się wciąż odpowiedzią na pytanie:

— Jestżem szczęśliwa?.. Jestże to szczęście?..

Nie rozróżniała twarzy—wyróżniała wszakże jedne oczy, które od początku uczty wpatrywały się w nią z dziwnym, przenikliwym wyrazem...

Oczy te działały na nią w sposób szczególny. Czuła je wciąż na sobie, pomimo, że nie patrzyła na ich posiadacza, który zresztą był człowiekiem zupełnie jej obcym.

Wanda była jednak o tyle kobietą, że umiała, nie patrząc, widzieć — dzięki czemu zauważyła, że te oczy nie mogą być ani francuzkie, ani angielskie, ani włoskie. Za wiele znajdowało się w nich dobroci, rzewności, rozmarzenia i czegoś, co możnaby nazwać paradoksalnie „wilgotnym ogniem." To spostrzeżenie, niewiadomo dlaczego ucieszyło ją.

Mimowoli myślała o tych oczach, wyobrażając sobie, że wśród tej tłumnej a hałaśliwej pustyni, na którą los ją rzucił, i wobec tej hydry stugłowej, zdradziecko łaszącej się, a drapieżnej, ma w nich — sprzymierzeńców.

Gdy skończyła się już defilada znakomitości przed fotelem Wandy, i gdy na jedną krótką chwilę pozostawiono ją samą, ujrzała nagle, a raczej poczuła, że ktoś krokiem powolnym zbliża się do niej, staje w postawie niewolnika i kłania się nieśmiało. Jednocześnie usłyszała wymówione głosem wdzięcznym choć przyciszonym, słowo:

— Rodak...

Nawet nie podnosząc opuszczonych rzęs, odgadła, że człowiekiem przedstawiającym się jej w sposób tak niezwykły, jest posiadacz oczów, które „nie mogły być ani francuzkie, ani angielskie, ani włoskie."

Jednak i rzęsy podniosła, i spojrzenie ciekawe, badające na nieznajomego obróciła.

Był to człowiek młody, nie mający jeszcze lat trzydziestu, o twarzy typowo polskiej, choć z przystrzyżonym po francuzku zarostem; zbudowany silnie, ogorzały, pleczysty. Z jego oblicza i całej postaci biła poczciwość, prostota i właściwa wszystkim plemionom słowiańskim skłonność do szczerego, niepodrabianego entuzyazmu.

— Jeden mam tylko tytuł do narzucenia się pani ze swą znajomością — mówił, jakby odpowiadając na badające go spojrzenie — i tytuł ten odrazu wymieniłem. Ale teraz jestem w obawie czy wystarczy?

Wanda uśmiechnęła się życzliwie.

— Najzupełniej—rzekła, patrząc mu prosto w oczy, i wbrew zwyczajowi rękę mu podała.

Tej łaski, czy też kaprysu, nie dostąpił owego dnia nikt — choć wielu się o to ubiegało.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Z piśmiennictw obcych.

W chwilach, w których faktów doniosłych skąpo jest do zanotowania, wypada w druku szukać odpowiedzi na wiele ukazujących się na powierzchni zagadkowych objawów życia. Życie nastraja umysły, zbroi lub rozbraja, jedna i waśni między sobą zarówno narody, jak i pojedyncze tych narodów stany, warstwy i grupy społeczne. Jeśli mamy mówić o treści tego, czem nam chwila obecna najhojniej zasypuje oczy, co rozbrzmiewa najpowszechniej a razi najdotkliwiej, to niewątpliwie przyjdzie nam mówić o tych waśniach i starciach we wnętrzach organizmów społecznych.

Jako jeden z dowodów tego zaostrzenia się stronniczego ducha w społecznościach dzisiejszych, służyć może szczególnego rodzaju książka wyszła w Paryżu staraniem Piotra Quillard. Autor zamierzył dać, jak się pokazuje, światu pojęcie o wielkim chaosie opinij i przekonań rozdzierających jego naród, gromadząc kolekcyę listów, które w ciągu procesu Dreyfusa napłynęły do redakcyi dziennika „Libre parole." Oczywiście wybrał tylko najcharakterystyczniejsze, a i ten zbiorek zajął mu 650 stronnic. Książka nosi tytuł: „Monument Henry" i zawiera oczywiście wyraz uczuć najprzeciwniejszych rewizyi procesu, w którym fałszerstwo spełnione przez pułkownika Henry, podniesionem jest do heroizmu. Autorami listów są wojskowi, duchowni, kobiety światowe, młodzież różnych profesyi więcej lub mniej oświecona, jest nawet w tym zbiorku sporo pism gimnazistów, a wszystko roznamiętnione, zaciekłe, wrzące nienawiścią przeciw żydom i tym, których uważają za ich wspólników—nienawiścią rozdmuchaną do ostateczności—do kanibalizmu. Francuz dzisiejszy to człowiek, któremu obrona jego kraju na zewnątrz wydaje się sprawą do pewnego stopnia drugorzędną, który natomiast całą energię i namiętność wkłada w walkę, jaka się we wnętrzu jego społeczności dokonywa. Dla niej gotów on poświęcić i spokój, i byt, i bezpieczeństwo swoich, podczas gdy to, co się zwało niegdyś w tym kraju sławą, urokiem wobec świata, potęgą, zostawia go zimnym i obojętnym. Zresztą oni nie od dzisiaj są takimi. Wiadomo, że w roku 1871 ci sami francuzi, w wojnie z niemcami bili się o wiele gorzej, niż kiedykolwiek. Od początku samego wojna się przykrzyła, wydawała uciążliwą, głupią i niepotrzebną, tak dalece, że ci głośni niegdyś ze swojej *furia francese* walecznicy, potrafili w 90 tysięcy podawać tył nieprzyjacielowi, bluźniąc przeciw krajowi, złorzecząc wodzom swoim, jak się pokazało po to jedynie, aby zachować wszystkie siły i męztwo całe do przyszłej bratobójczej walki. I w istocie komuna ścierająca się z armią wersalską, to dwa zastępy przypominające Wandeę; wczorajszy tchórz, szerzyciel popłochu w starciu z najeźdźcą swojego kraju, stawał się mężnym, gdy zobaczył przed sobą francuza.

Widowisko zarówno smutne jak pouczające.

Wiele mówią teraz we Francyi i tyleż poza jej granicami o ostatniem dziele Zoli noszącem tytuł: „La Fécondité." Jestto pierwsza z cyklu czterech zapowiedzianych powieści, mających dać światu francuzkiemu cztery wskazania pierwszorzędne. Część pierwsza dotyczy najważniejszego z niedomagań, na które cierpieć zaczyna Francya współczesna, mianowicie stopniowego zmniejszania się jej ludności. Jestto zatem romans o tendencyi społecznej bardzo wyraźnej, traktowany ze zwykłym tego pisarza reelizmem, który ma czytelnikowi nasunąć same wnioski natury idealnej, i wskazać środki zażegnania złego. Powrócimy jeszcze do tej powieści, której kilka szczegółów z rozmaitych względów interesuje nas bardzo; dzisiaj, przy tym pobieżnym rzucie oka na całość, chcielibyśmy słów kilka powiedzieć o celach, które sobie przypuszczalnie autor zakładać musi, gdy podejmuje pracę opartą na studyach tak pracowitych, drobiazgowych i sumiennych. Cel w istocie może być tylko jeden. Wzrok autora sięgający dalej niż sięgnąć zdoła przewidywanie mas, widzi niebezpieczeństwo czy klęskę powszechną, a zatem ostrzega, nawołuje, grozi. Wybiera sobie jako środek formę literacką najpopularniejszą, formę powieści, która traktowana jego metodą i wykonana z jego w danym kierunku mistrzowstwem, powinna przekonać, przerazić, zatrzymać niejako nad przepaścią. Otóż idzie o to, czy wśród tłumów osiąga powieść Zoli ten skutek—czy ten właśnie czytelnik, dla którego mogłaby ona być najodpowiedniejszą, może wziąść do serca jej prawdy, zrozumieć w imię dobra publicznego konieczność reformy obyczajów?

Wydaje nam się to prawie niepodobnem do osiągnięcia, choćby nawet w zakresie minimalnym, a nawet przedstawia się rzecz tak, że ktoby na oddziaływania podobne liczył, ten musiałby źle rozumieć przyczyny dzisiej-

szego zniepravienia człowieka, mylnie oceniać ich doniosłość, i wogóle przeceniać potęgę oddziaływania słowa drukowanego na ustrój umysłowy i moralny jednostki dzisiejszej. Kogo bo ma właściwie przekonać założenie autora?

Nie na osobnika równej mu intelligencyi i samowiedzy pod względem politycznym i społecznym są prace takie obrachowane, bo ten porówni z autorem zdaje sobie sprawę z położenia, ubolewa nad niem i stosownie do swojego punktu zapatrywania obmyśla z pewnością środki zaradcze. Nie zniepravioną massę proletaryatu intelligencyi może mieć na widoku autor, bo każdemu z jej członków Francya cała wraz z jej przyszłością tyle leży na sercu, co jej przeszłość z epoki Klodoweuszów naprzykład. Nie tłum całkowicie ciemny, bo tego nędza indywidualna na przejmowanie się klęską zbiorową, a ciasnota umysłu na ogarnięcie niebezpieczeństwa ogólnego, całkowicie nie pozwala, choćby mu Zola do serca kołatał najtragiczniejszem przedstawieniem widziadła narodu zanikającego w dziejach, a do jego pojętności dobierał się całym kunsztem swego powieściowego realizmu. Nie dla cherlawej i zwyrodniałej we Francyi starej warstwy zwierzchniej społeczeństwa, ani dla tej drugiej, która się obok niej dzięki bogactwom swoim rozsadowiła, bo jedna i druga mają swoją, nie od dzisiaj wyrobioną na sprawy publiczne drętwą obojętność, swoje hasła zwi rzcego użycia w teraźniejszości, i swoje tradycyjne a przysłowiowe wzywania choćby potopu na głowy tych wszystkich, którzy je o dzień jeden na tej ziemi przeżyć mają.

Po wymienionych powyżej grupach społecznych, pozostaje nam ta najnieznaczniejsza liczbą, ale najbogatsza względną treścią swego ducha, ta najprzystępniejsza wrażeniom literackim i artystycznym, ta jednem słowem, dla której, właściwie mówiąc, trudzą się i Zola i wszyscy jemu podobni pracownicy. To środowisko narodu we Francyi wypełniają, jak wiadomo, żywioły nader różnorodne, poczynając od intelligencyi w ścisłem znaczeniu tego słowa, ludzi tak zwanych profesyi wolnych, aż do szarych, bezbarwnych mass, wprawdzie niby-oświeconych tylko, ale za to ruchliwych, mrówczych, zabiegłych i posiadających w każdym razie pewne warunki żywotności, a zatem jakieś aspiracye osobiste i odpowiednie do wierzeń i przekonań poczucia obywatelskie.

Dla tej właściwie sfery społecznej wskazaniem być powinien cykl zapowiedzianych przez Zolę powieści, której pierwsza część w sześćdziesięciotysięcznej edycyi rozeszła się już, jak donoszą sprawozdania. Jeśli nam jednak rozważyć przyjdzie, że właśnie ztąd przeważnie wyszły wszystkie hasła, do jakich odnieść wypadnie objaw, przeciw któremu apostołuje Zola, jeśli weźmiemy pod uwagę tych sfer bezgraniczny oportunizm zasad, ich świadome wykluczenie wszelkiego pierwiastku idealniejszego, tak dobrze z własnego życia, jak z wychowania pokoleń, ich zmateryalizowanie się ostatniej doby, niebywałe nawet na gruncie francuzkim, obudzić się muszą wątpliwości, azali hasła Zoli także bezwzględnego materyalisty, posiadać mogą siłę i żywotność potrzebną do zrobienia tutaj wyłomu spodziewanego.

Nie trzeba zapominać, że się ma do czynienia ze złem, wyrosłem na tle obniżenia ideałów, oschłości dusz ludzkich zniepravionych użyciem i wystudzonych doktrynami, że zatem zwrot ku lepszemu na chłodno i małymi środkami dokonać się nie może. Wogóle książka za dni naszych, to już nie pocisk, nie grot; książka bawi, rozrywa, śmieszy, gniewa, ale nie porywa, nie egzaltuje i nie rozpala jak niegdyś. Zresztą do jej treści powrócić nam może wypadnie jeszcze.

O jednej pracy kobiecego pióra nadmienić chcielibyśmy w kilku słowach. Jest nią monografia historyczna nosząca tytuł „Barbara Radziwiłłówna.” Rzecz napisana po francuzku nie bez talentu przez baronową de Baulny. Przypominamy czytelniczkom naszym, że pani de Baulny z domu Rouher, jest córką pierwszego ministra Napoleona III, który w swoim czasie nosił we Francyi przydomek vice-cesarza. Był on rzeczywiście potęgą pierwszorzędną. Córka, będąc panną zagustowała bardzo w naszej literaturze z tłómaczeń, a następnie nauczyła się języka do tego stopnia, że w nim zupełnie poprawnie napisała kilka nowel, które czytając bierze się w każdym razie za pracę polskiego pisarza. Otóż „Barbarę Radziwiłłównę” dyktowała z pewnością autorce najpierw szczera dla naszego narodu przychylność, a przytem przejęcie się tragizmem losów tej kobiety koronowanej. Gdyby jeszcze postać tytułowa szkicu nie nosiła w nim miana żony Zygmunta I-go, rzecz byłaby w porządku, ale w takim razie byłoby to o wiele więcej, niż nam po erudycyi francuzkiej w rzeczach historyi oczekiwać wolno.

A. S.



6 Listopada 1899 roku.

Pogoda piękna i stała zawisła od pewnego czasu nad Paryżem; tłumy spacerujących wylegają na Pola Elizejskie, ukazując jesienne stroje w najkorzystniejszem świetle.

Zapewne te dnie słoneczne zachęciły paryzkie elegantki do jasnych, bardzo jasnych barw; żółte jak masło (velour beurre), pastelowe i niebieskie (bleu gendarme) stanowczo zyskały aprobatę do kostiumów spacerowych. Jedne bywają strojne futrem ciemniejszem, to znów aplikacyą z pasmanteryi nowego zupełnie pomysłu, wstążeczkami atłasowemi, galonami wszystkich kolorów tęczy, frendzelką migotliwą, jako ostatnim wyrazem nowości.

Suknie całe czerwone jak maki polne coraz częściej się pojawiają, co na tle mnóstwa innych popielatych odcieni bardzo harmonijne tworzy wrażenie, tak, że jedna suknia drugiej podnosi zalety.

Znają się na tem osoby z wyrobionym smakiem oceniające grę kolorów, to też gdy chodzi o większe zebrania, ważnym to jest przedmiotem narad w krawieckich pracowniach, aby osoby blizko siebie trzymające się miały suknie kolorów właściwie dobranych.

Mody jesienne, przed miesiącem lekko naszkicowane, przybierają coraz wyraźniejszą formę, tak, że śmiało twierdzić możemy, jaki pierwowzór przyjąć należy na zimowe toalety.

Suknie obcisłe, lekko powłóczyste, polonezy, princessy, podwójne spódnice, staniki z tyłu z połami niby od fraka, rękawy niesłychanie długie i wązkie, rozszerzające się u ręki w kształcie lejka — koniecznie z jednej sztuki.

Jako materyał ma przedewszystkiem królować aksamit; żadna z was, panie, na to skarżyć się nie będzie, bo czyż może być coś ozdobniejszego na strój niewieści, jak ten śliczny i obfity wybór jedwabnych i wełnianych aksamitów o przecudnym srebrzystym odblasku, w najpiękniejszych odcieniach. Ceny wcale nie wygórowane — ztąd konkurencya dla sukiennych toalet.

Całe aksamitne kostiumy błękitne, perłowe, zielone, zdobne futerkiem, błyszczącymi guzikami, zupełnie nowym odznaczają się pomysłem, a twórczyniom modniarkom zaszczyt przynoszą.

Jest jeszcze inny rodzaj wytłaczanych aksamitów: na tle białem atłasowem różne kombinacye kratek, pasków i arabesków czarnych lub kolorowych, ale te już wiele droższe, przeważnie służą do ubrania wyłogów, kołnierzy i rękawów.

Kobiety pragnące wiedzieć, co w tej chwili największe ma powodzenie w dziedzinie mody paryzkiej, mogą udać się ze mną siłą wyobraźni ku kościołowi św Magdaleny, bo oto dzwony wzywają na ślub elegancki, bodaj czy nie książęcy, a podczas gdy strojne pary ciągnąć będą wolno i uroczyście, my zanotujemy naprędce, co nam najwięcej przypada do smaku.

Suknia popelinowa koloru mastic, dół spódnicy wycięty w zęby, odznacza się na tle drugiej spódnicy zielonej aksamitnej; bolero również naokoło wycięte w zęby, ma także pod spodem przód aksamitny haftowany złotym galonem.

Kapelusz filcowy koloru sukni z dwoma piórami, płasko z dwóch stron ułożonemi, wysokie denko, otoczone zieloną wstążką z nieuniknioną frendzelką.

Dalej widzimy suknię nadzwyczaj stylową, białą jedwabną w duże kwiaty Pompadour, formy princesse, bardzo obcisłą u dołu, strojną falbanką koronkową, biegnącą od dołu sukni, aż do stanika, podpiętą u piersi i paska rozetką sztywnych aksamitek czarnych, od których spływa kilka końców tych wąziutkich aksamitek na leciutkich drucikach misternie odrobionych i w nową rozetkę skupionych u boku. U obcisłych rękawów węższa koronka i mniejsze rozetki. Kapelusz formy di-

rectoire z piórem białem i różowem, czarnemi aksamitkami przypominającemi ubranie sukni, z bardzo wysokiem denkiem, okolonem kilka razy różową wstążeczką w równych odstępach.

Warto nam jeszcze zaznaczyć suknię koloru pastel (jaune pastel) z cieniutkiego sukna, robiącego wrażenie atłasu i dół spódnicy haftowany à jour; przez ten klarowny deseń widać jedwabną spódnicę z wązkiemi falbankami.

Staniczek cały haftowany, wyłogi i kołnierz aksamitny, toczek z torsadą aksamitną w trzech odcieniach i białą egretką przepiętą złoconą klamrą.

Jako oryginalność podaję tu pelerynkę z kosztownego żółtego futra; ogólną zwracała na siebie uwagę, bo cały karczek tej pelerynki naszyty był wypukłymi aksamitnymi kwiatami ciemnej przeważnie barwy. Futro strojne koronkami już dość ekscentrycznem nam się wydało, ale kwiaty wykwitające na futrze, to pomysł iście fin de siècle; zapewne nie wiele znajdzie amatorek, chyba w eleganckim świecie New Yorskim.

Suknia z blado-liliowego sukna, strojna szeroką bandą aksamitu wyciskanego w liliowe desenie na tle białem na spódnicy i staniku. Banda ta objęta jest z obu brzegów wązkim paskiem futerka bronzowego; dół sukni spoczywa na drugiej spódnicy aksamitnej ciemniejszego liliowego odcienia. Stanik zapinany z boku; kapelusik liliowy formą amazonki z dwoma białemi skrzydłami na przodzie.

Suknia perłowego koloru z cienkiego sukienka, peplum o zaokrąglonych konturach, z kilku rzędami maszynowej stebnówki, druga spódnica dłuższa z falbaną wykrojoną en forme z aksamitu o jeden ton ciemniejszego; takąż falbanką strojny stanik wzdłuż. Rękawy u ramienia z trzema drobniutkiemi zaszewkami wąziutkiemi jak sznureczek; zaszewki powtarzają się na przodzie stanika i górnej części peplum. Kapelusz z popielatemi piórami i torsadą aksamitną nad czołem.

Na zakończenie tej pogawędki, pozwólcie mi jeszcze szanowne czytelniczki dodać słówko o ubraniu domowem czy też szlafroczkach. W tej chłodnej porze za powrotem z wizyty, miło narzucić miękkie, wygodne a wdzięcznie wyglądające, ubranie, jeżeli wzór weźmiemy z tych prześlicznych, jakich szereg cały widzę wystawiony w magazynie modnym.

Krepinowe, wełniane, pąsowe, liliowe, różowe. Cały bryt przedni zawsze biały, rękawy szerokie, wewnątrz białe; w pasie biały sznur z chwastami. Inny rodzaj, istne pieścidełko, rodzaj polonezy, na jedwabnej spódniczce; przód tej spódniczki cały złożony z falbanek, wstążek, wstawek i koronek najgustowniej skombinowanych i najmodniejszych.

W magazynie tym widzieliśmy też płaszcz długi spacerowy z błękitnego aksamitu formą sukni princesse, spięty z boku lekką draperyą. Ogromne wyłogi i wysoki kołnierz wyłożony białym atłasem—wszystko obramowane lekkiem futerkiem. Kapelusz duży okrągły filcowy, koloru płaszcza, ubrany aksamitem i futerkiem.

Seweryna Duchińska.

Sprawozdania literackie.

Wacław Sieroszewski: „Risztau,“ powieść.— Gustaw Daniłowski: „Nego,“ nowele.

Niesłusznie nazwał autor utwór swój powieścią. Fabuła powieściowa „Risztau" jakkolwiek zajmująca i barwna nie stanowi całości artystycznej, skończonej. Urwana niespodziewanie, niedośpiewana, pełna niewytłómaczonych dostatecznie sytuacyj i postaci zaledwo naszkicowanych, opowieść Sieroszewskiego jest tylko fragmentem, epizodem z życia ludzi rzuconych w warunki bytu dosyć niezwykłe, od codziennych różne.

Największą niewątpliwie zaletą tej książki są przepyszne obrazy przyrody. Przenosi nas autor w puszcze południowego Kaukazu, w gaje bukszpanowe, w lasy rododendronów, w sieci pląęczów, bluszczów, chmielów. Stąpamy z nim śród olbrzymich paproci, śród buków, grabów, dębów, oddychamy powietrzem wilgotnem, gorącem, wonnem, wdzieramy się na dzikie urwiska, po stromych zboczach, pod biały, lodowy szczyt Risztau; słuchamy, tajemniczej, gwarnej muzyki puszcz i łoskotu wód górskich. Jednem słowem jesteśmy na Kaukazie. Tak słowem swojem umie Sirko zaczarować czytelnika, tak wyobraźnią jego owładnąć.

Sieroszewski jedyny prawie pisarz, wprowadzający do literatury naszej krajobraz obcy, zajmuje pod tym względem stanowisko podobne do stanowiska Loti'ego w literaturze francuzkiej. Głębszych jednak podobieństw niema między nimi. Sieroszewski jest przedewszystkiem malarzem przyrody — dusza świata nie objawia mu się wszędzie i zawsze w spojrzeniach konających zwierząt, w ciszy oceanów, w rozpacznym smutku pustyń — jak Loti'emu, melancholijnemu wędrowcowi po obcych morzach i po obcych brzegach.

Na egzotycznem tle kaukazkiej przyrody ukazuje nam Sieroszewski rodzinę polską, rzuconą wolą losów i wolą nieżyjącego już doktrynera, w ten zakątek wpół dziki, daleki. Zestawienie to jest pełne wdzięku i od początku budzi żywe zajęcie w czytelniku.

Rodzina składa się z matki, staruszki, typu bardzo swojskiego, dwóch synów, zdziczałych do pewnego stopnia życiem, które wypełnia ciężki trud rolniczy i łowy—młodziutkiej sieroty Heleny i starej panny Justyny. Co do tej ostatniej, autor ani jednem słówkiem nie objaśnia nas jakim sposobem znalazła się w tym domu i zaliczoną została do rodziny. Podkreśla za to tajemniczy jej stosunek ze starszym synem Szymonem. Stosunek ten jest jakimś fałszywym dźwiękiem w harmonii tego pierwotnego, pełnego prostoty, patryarchalnego żywota. W Helenie rozkwitłej pod gorącymi promieniami słońca, kocha się Szymon, kocha młodszy brat Jurek; serce jej jednak budzi nowy przybysz, postrzelony na polowaniu przez Jurka, młody uczony Wichlicki. Po wyleczeniu uczony udaje się na wycieczkę geologiczną ku szczytowi Risztau. Zaskoczonemu powodzią w górach grozi śmierć głodowa. Helena z Jurkiem, zdolnym do wszystkich poświęceń dla niej — śpieszą mu z pomocą. Przezwyciężywszy nadludzkim niemal wysiłkiem wszelkie trudności, przybywają w chwili, gdy Wichlickiemu nic już prawie nie brak do śmierci.

W punkcie tym przerywa autor opowiadanie—jakby chciał rzec: resztę dośpiewaj sobie czytelniku sam.

Jak widzimy wątek powieści niedługi, pospolity dość i niedosnuty do końca. Ale też autorowi zdaje się niewiele chodziło o ów wątek. Z utworu jego wieje świeżość, młodość, siła. Te natury pierwotne, te postacie nieustraszone, wytrwałe, piękne, w przeciwstawieniu zwłaszcza z bardziej wyrafinowaną, bardziej złożoną naturą Wichlickiego, pociągają szczególnym urokiem.

Obrazy przyrody dopełniają czaru.

Gustaw Daniłowski jest pisarzem młodym, któremu od początku zawodu wróżą ci i owi niepospolitą przyszłość.

Przejrzyjmy zbiór nowel objętych ogólnym tytułem „Nego." Tytuł ten jest zarazem nagłówkiem pierwszej noweli.

W króciutkiej tej powiastce spotykamy się z obrazem tortur, jakie dzisiejszy, w całej Europie przyjęty, system szkolny, zadaje duszy dziecięcej. Z nadzwyczajnem wczuciem się w sytuacyę — tak, że gotowiśmy przypuścić, iż autor opowiada własną przygodę szkolną—ukazuje nam Daniłowski malca gnębionego poprawką z łaciny. Ile niepokoju, ile pracy, ile nerwowego i umysłowego wysiłku wkłada dziecko w przygotowanie się do tego nieszczęsnego egzaminu po to, by od niechętnego profesora zostać złapanym i otrzymać *pałkę*. A ile łez matki, ile nocy niedospanych, ile godzin pracy nad siły kosztuje to wszystko, ile serdecznego bólu!

Mały Jaś przystępując do próby ogniowej egzaminu, jest pewnym, że złapać się nie da. Przebrnął już szczęśliwie *supina* i *gerundia*, zaczyna tłómaczenie. Zatrzymuje się przy pierwszym wyrazie: „Nego". Nie rozumie znaczenia tego wyrazu. Profesor nie objaśnia go, lecz zapytuje podstępnie: jaka to część mowy. Chłopiec przypomina sobie *ego*, odpowiada: zaimek, i.... z całą naiwnością jako zaimek odmienia. Naturalnie *pałka!* Chłopiec traci prawo uczęszczania do zakładu szkolnego.

„Jestto jedna ze zbrodni, których starość dopuszcza się na młodości" powiedziałby Leopardi.

Biedna dusza dziecięca, w której krzywda doznana budzi pierwsze złe uczucia!

Bardzo prawdziwie opisał autor pospolitą scenę domową, która następuje zazwyczaj po *obcięciu* się chłopca. Rozpacz, łzy, wyrzuty i t. d.

— Ale cóż to jest to *nego?*—pytają wreszcie oboje—matka i syn. — „Zaprzeczam, mówię że nie, protestuję" — odpowiada słownik.

— No, chyba to słowo będziemy dobrze pamiętali oboje.

— O będziemy, mamusiu!

I przez sen powtarza dzieciak: „Nego, negavi, negatum, negare — zaprzeczam, protestuję..."

Najcenniejsza to w całym zbiorku perełka.

Dalsze utwory, to także protesty nie dziecka już lecz młodzieńca, protesty przeciwko głupocie, bezmyślności, egoizmowi, więzom

Tygodnik Mód i Powieści



Pismo Illustrowane dla kobiet.

W Warszawie kwartalnie . rub.	1.—	
„ rocznie . . „	4.—	
Z przes. poczt. kwartalnie . „	1.25	
„ „ rocznie . . „	5.—	





Tygodnik Mód i Powieści w przyszłym 1900-ym, a istnienia XLII-im roku, wychodzić będzie pod tym samym jak dotąd kierunkiem literackim, z utrzymaniem i nadal dotychczasowego współpracownictwa w działach specyalnych:

MÓD

(2,000 rysunków i 12 wielkich arkuszy z krojami i wzorami robót kobiecych)

i

GOSPODARSTWA DOMOWEGO,

dzięki którym pismo nasze niezależnie od zaspokojenia potrzeb umysłowych kobiety oświeconej zapewnia jej stwierdzonej wartości użyteczność praktyczną.

Obietnic bogatych w słowa, zapowiedzi ulepszeń i reform właściwych wszystkim mniej więcej prospektowym ogłoszeniom unikaliśmy dotąd z zasady. Tem mniej moglibyśmy uciekać się do nich obecnie, gdy publiczność czytająca na ujawniony w Tygodniku kierunek odpowiedziała istotnymi dowodami ufności i uznania, stanowiącymi dla Redakcyi cenną zachętę do wytrwania na obranaj drodze.

Jedyną z naszej strony obietnicą, a właściwie mówiąc jedynem zobowiązaniem, jakie przyjmujemy, jest stać i nadal na gruncie tych przekonań, które dzisiaj wolno nam już uważać jako trwały łącznik między pismem a czytelnikami, a służąc tym ostatnim informacyą z objawów życia aktualnego, wybierać w pośród nich te tylko, których uznamy wartość i wpływ na społeczność własną lub obcą. Z tego zadania chcemy wywiązywać się jak dotąd bez cienia uprzedzeń, nienawiści stronniczych i względu na interes osobisty.

To jest wszystko, co dzisiaj o duchu i kierunku pracy naszej na przyszłość powiedzieć nam wolno.

Nie spuszczając z uwagi starannego i ciągłeg zasilana stałego współpracownictwa naszego pisma słów parę mamy do powiedzenia o tem co w dzial belletrystyki przygotowaliśmy dla **Tygodnika Mó i Powieści** na rok nadchodzący. Zapewnione mam prace:

Maryi Rodziewiczówny,
Wiktora Gomulickiego,
Władysława St. Reymonta,
Sewera (Ignacego Maciejowskiego),
Władysława Umińskiego
i wielu innych.

W dziale poezyi znane czytelnikom pióra:

Kazimierza Glińskiego,
Miriama,
Langego,
Or-Ota i innych

przyobiecały nam utwory swoje na rok następny

☆ ☆ ☆

Rozpoczynamy rok 1900 dwoma utworami powie ściowymi:

Wład. St. Reymonta

POWIEŚĆ p. t.

I po dniach wielu.—I po latach wielu..

SEWERA

POWIEŚĆ p. t.

LEGENDA.

Warunki Prenumeraty:

w Warszawie:		z przesyłką pocztową:	
Rocznie	rs. 4	Rocznie	rs. 5.
Półrocznie	„ 2	Półrocznie . . .	„ 2.
Kwartalnie. . . .	„ 1	Kwartalnie . . .	„ 1.

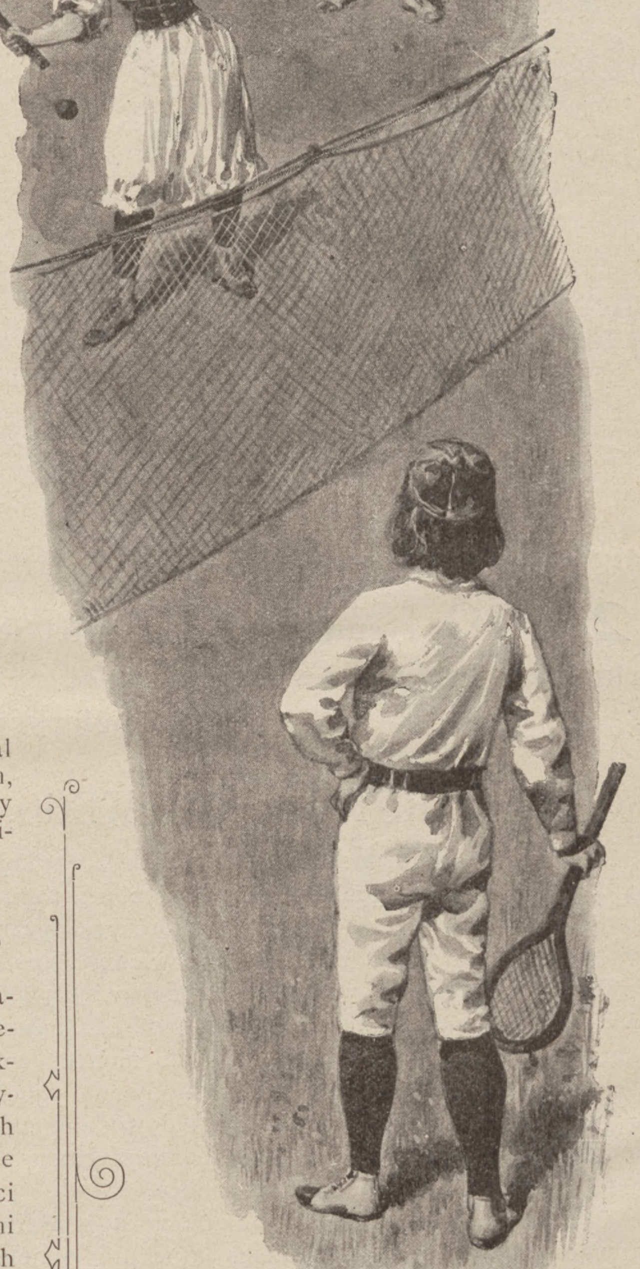
Redaktor Jan Skiwski.

Adres Redakcyi i Administracyi „Tygodnika Mód i Powieści" Warszawa, Chmielna 26.



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE

Nauce i rozrywce młodzieży poświęcone.



Upływa 40 lat od założenia **„Przyjaciela Dzieci"** — przez ten długi okres czasu uległy zmianom metody wychowawcze, środki techniczne, lecz pozostała niewzruszoną zasada, której się trzymali poprzedni redaktorzy Sp. Anczyc i Gregorowicz:

Uszlachetniać serca, rozwijać i bawić młode główki.

Przyjaciel trzymał się, trzyma obecnie i na przyszłość nic nie zboczy z tej drogi, wskazanej mu przez pełnych zasług i wytrawnych swych twórców. Wychodząc z zasady, że powodzenie, zdobyte sumiennem spełnianiem zadań obowiązuje, **redakcya Przyjaciela pragnie wprowadzić liczne ulepszenia,** które jak przypuszcza uczynią z tego pisma, **nieodłącznego towarzysza i przewodnika młodzieży.**

W nieustannej dbałości o podniesienie treści **Przyjaciela** zjednaliśmy mu współpracownictwo tych wszystkich pedagogów i pisarzy, którzy zwrócili na siebie uwagę, bądź wytrawnością i zamiłowaniem swego zawodu, bądź talentem literackim i wiedzą. Postaramy się dawać czytelnikom naszym utwory, które obok pięknej formy, zajmującej treści będą przeniknięte umoralniającą tendencyą.

Mamy już w tece kilka powieści odpowiadających powyższym wymaganiom w zupełności, aby zaś uczynić je bardziej zaciekawiającemi i przyjemniejszemi w czytaniu postanowiliśmy zawsze przyozdabiać je

illustracyami.

Zaciągnąwszy rady zasłużonych i znających potrzeby i upodobania młodzieży pedagogów wprowadzamy oprócz tego cały szereg nowych działów i ulepszeń.

A więc będziemy dawali

bezpłatne premja w książkach

najbardziej znanych autorów,

urozmaicimy gałęź pogadanek naukowych tak, żeby młody czytelnik znalazł w nich wszystkie najnowsze i najbardziej imponujące zdobycze wiedzy i wynalazczości ludzkiej.

Pragnąc aby nasze pismo nietylko służyło do przepędzenia na czytaniu paru godzin, lecz także było przewodnikiem czytelników w wynajdywaniu przyjemnych i pouczających zarazem zajęć, postanowiliśmy umieszczać stale

ROZRYWKI NAUKOWE.

Będą to wskazówki i przepisy, które nauczą młodzież bawić się samej zamiast być bawioną i wyrobią w niej samodzielność i wytrwałość, te dwie zalety charakteru, tak niezbędne w życiu praktycznem.

Otoczymy szczególną opieką i staraniem zawsze chętnie czytywane życiorysy wielkich ludzi, ich głośne czyny; jak dotąd tak i nadal będziemy ukazywali chciwym wrażeń główkom, dalekie kraje — opowiadali przygody badaczy i podróżników słowem rozwiniemy i urozmaicimy treść pisma

rozszerzając dotychczasową objętość numeru.

Niezależnie od ulepszeń treści wprowadzamy liczne udoskonalenia strony technicznej naszego wydawnictwa. — Damy papier grubszy i piękniejszy, powierzymy illustrowanie powieści i artykułów pierwszorzędnym artystom—w czcionkach także przedsiębierzemy ulepszenia. Mianowicie uwzględniając, że dodatek czytają zwykle dzieci młodsze, będziemy go drukowali czcionkami większemi, w ten sposób oczki 6-io i 7 letnich czytelników unikną przedwczesnego forsowania zgubnie wpływającego na wzrok. — **Dodatek ów będzie zatem tworzył oddzielną całość przeznaczoną dla małych dzieci** — treścią i układem, zastosowaną do ich wymagań i pojęć, w ten sposób w jednym domu będą mogły z naszego pisma korzystać dzieci od najstarszych do najmłodszych.

Czynimy to wszystko po to tylko, żeby zasłużyć sobie na dobre słowo, tych wszystkich, którzy kochają naszą dziatwę, widzą w jej rozwoju rękojmię własnego szczęścia, wzorujemy się zaś na tych, którzy poświęcili jej całe swe życie i włożyli na nas obowiązek prowadzenia rozpoczętego dzieła.

Redaktor **Jan Skiwski.**

PRENUMERATA WYNOSI:

w Warszawie:		Z przesyłką pocztową:	
Rocznie	rs. 4	Kwartalnie . . .	rs. 1.25
Półrocznie	„ 2	Półrocznie . . .	„ 2.50
Kwartalnie	„ 1	Rocznie	„ 5.—

Adres Redakcyi i Administracyi „Przyjaciela Dzieci"
Warszawa, Chmielna 26.

Дозволено Цензурою. Варшава. 25 Октября 1899 года.
Druk Warszawskiego Towarzystwa Akcyjnego Artystyczno-Wydawniczego.

Rok wydawnictwa XXV-ty.

Biesiada Literacka

ILLUSTRACYA TYGODNIOWA

dla Rodzin polskich

pod redakcyą

WŁADYSŁAWA MALESZEWSKIEGO.

„Biesiada Literacka" przez dwudziestoczterolecie swego istnienia wierną była zasadom, dla których powołaliśmy ją do życia.

Przez ten czas pozyskała tylu przyjaciół, tak się zrosła ze społeczeństwem polskiem, tak wnikła w życie naszych rodzin, że nie jest nigdzie obcą i obejść się może bez ogłaszania, co myśli, dokąd dąży.

Samodzielność i niezależność były nieodłączne od naszych sił redakcyjnych, któremi zwyciężaliśmy natarcia licznych prądów, przeciwnych kierunkom Biesiady; prądy minęły, nie strąciwszy nas ani na chwilę ze stanowiska, zajętego od samego początku wydawnictwa.

Ulegaliśmy tylko własnym przekonaniom i prawdzie, wszelka stronniczość osobista, wszelka zawiść konkurencyjna, wszelka próżność i obłuda były nam obce. Przyjmowaliśmy z wdzięcznością rady ale nigdy nie uległiśmy naciskowi, jeśli poczucie sprawiedliwości było mu przeciwne.

Za poparcie czytelników, otaczających Biesiadę gorącą a dobrowolną protekcyą, wywdzięczaliśmy się ciągłem ulepszaniem części literackiej i illustracyjnej, zwiększeniem formatu i objętości pisma. Nigdy nie powiedzieliśmy sobie: już dosyć, lecz w miarę, jak przybywały środki materyalne, staraliśmy się Biesiadę, jako wydawnictwo, coraz więcej udoskonalać. Nie zmienialiśmy jednak w niczem jej dążności obywatelskiej, ani sposobu redagowania, najkorzystniejszego dla szerokich mas czytelników, pragnących pokarmu obfitego dla umysłu i serca ale nie mogących opłacać pism droższych.

Działalność nasza pozostanie i nadal opartą ściśle na zasadach Kościoła katolickiego, na miłości życia rodzinnego, na poszanowaniu szczerych przekonań, na postępie, szanującym przeszłość w tem, co było godne czci, i wchłaniającym w siebie wszystko, co chwila bieżąca daje odżywczego.

Hasła: **„Wszystko w Imię Boże", „Zawsze z prawdą i pracą", „Przez szczęście rodzinne do szczęścia ogółu", „Ręka w rękę ze sprawiedliwymi"** — pozostaną i nadal hasłami Biesiady, o której, jako o swem dziecku, możemy powiedzieć **„Biesiada — to ja".**

Za to **„ja"** ręczymy, więc upoważniamy do zapytania nas o zasady, jeślibyśmy się sprzeniewierzyli swej wieloletniej pracy, nie wiemy o ile zdolnej i pożytecznej, ale czystej.

Nazwisk pisarzy i artystów, spółpracowników Biesiady, nie powtarzamy: pozostają oni wszyscy z nami. Siły artystyczne i literackie, jakiemi szczyci się polska sztuka i piśmiennictwo, będą podporą naszej redakcyi.

Do grona pisarzy pierwszorzędnych, z których talentem czytelnicy Biesiady już się zapoznali, przybywa

Henryk Sienkiewicz.

Nazwisko tego wielkiego pisarza spotykali czytelnicy Biesiady na jej kartach, w sprawozdaniach literackich; teraz z chlubą i radością możemy zapowiedzieć, że z jego talentu skorzystamy bezpośrednio.

W tej chwili nie podobna oznaczyć, kiedy powieść zaczniemy drukować, ale twórca „Krzyżaków" nadziei naszej nie zawiedzie.

Starać się będziemy, aby **dział historyczny** zajmował miejsce poczesne w Biesiadzie, która, uprawiając: powieść, poezyę, podróżnictwo, kronikę bieżącą, krytykę i t. d., **historyę** będzie uważała za główną swoją ozdobę.

Z Biesiadą stanowi jedną całość dodatek:

„WIECZORY POWIEŚCIOWE".





Wyprawa Czarnieckiego do Danii.

tów i prozaików polskich". „Złota przędza" została wyczerpana, mamy nadzieję, że **„Przewodnik chronologiczny"** przyjęty będzie z taką samą życzliwością a nam przysporzy zasługi wydawniczej.

Wiadomo, jakim skarbem historycznym są **„Pamiętniki Paska"**; kto ich nie zna, ten nie zna dokładnie ówczesnej, obfitej w wielkie charaktery epoki, ani humoru, tryskającego z rodzimego źródła.

Pamiętniki Paska,

dzieło pierwszorzędne w polskiej literaturze pamiętnikowej, wydamy w edycyi jaknajstaranniejszej; liczne illustracye będą ozdobą opowiadania, któremu poświęcili swój talent artyści malarze i rysownicy: Antoni Zaleski i Jan Lewicki.

Szczegóły wydawnictwa ogłosimy w właściwym czasie, kiedy materyał będzie już gotowy; teraz możemy przyrzec, że

Pamiętniki Paska
ILLUSTROWANE

prenumeratorowie Biesiady Literackiej otrzymają

za cenę znacznie niższą

od ceny księgarskiej.

W r. 1899 prenumeratorowie Biesiady otrzymali bezpłatnie: obraz kolorowy Fr. Kostrzewskiego:

„W polskim lesie"

i kolorowy portret

HENRYKA SIENKIEWICZA,

wykonany z natury, wyłącznie dla Biesiady.

Portret kolorowy autora trylogii historycznej pojawia się po raz pierwszy; rozejdzie się ta cenna pamiątka pomiędzy jego wielbicielami na obu półkulach.

Do premiów bezpłatnych w r. 1899 należy także

„Herbarz jubileuszowy",

streszczający ćwierćwiekową działalność literacką i artystyczną Biesiady. Druk wydawnictwa, obliczony na kilkadziesiąt tysięcy egzemplarzy, należałoby zacząć w połowie bieżącego roku, a zatem drugie półrocze byłoby pominięte.

Z tego powodu „Herbarz jubileuszowy" odkładamy do roku przyszłego; na tej zwłoce tegoroczni prenumeratorowie Biesiady nic nie stracą, bo chociażby przestali być nimi, Herbarz otrzymają.

Do premiów corocznych należy

KALENDARZ ŚCIENNY.

Przed kilkunastu laty Biesiada zaczęła wydawać poczet królów polskich; portrety były kolorowe.

Wydawnictwo to wznowimy w r. 1900-ym.

PORTRETY
KRÓLÓW POLSKICH,

do których użyte zostaną dokumenty autentyczne, utworzą galeryę historyczną; zaletą jej będzie: prawda i artyzm.

Portrety kolorowane należeć będą do premiów bezpłatnych, dla wszystkich prenumeratorów **całorocznych** Biesiady.

Czego brak naszej literaturze encyklopedycznej? zapytaliśmy siebie, szukając przedmiotu, któryby, jako wydawnictwo, dał jaknajwięcej pożytku czytelnikom Biesiady. Przedmiotem takim jest

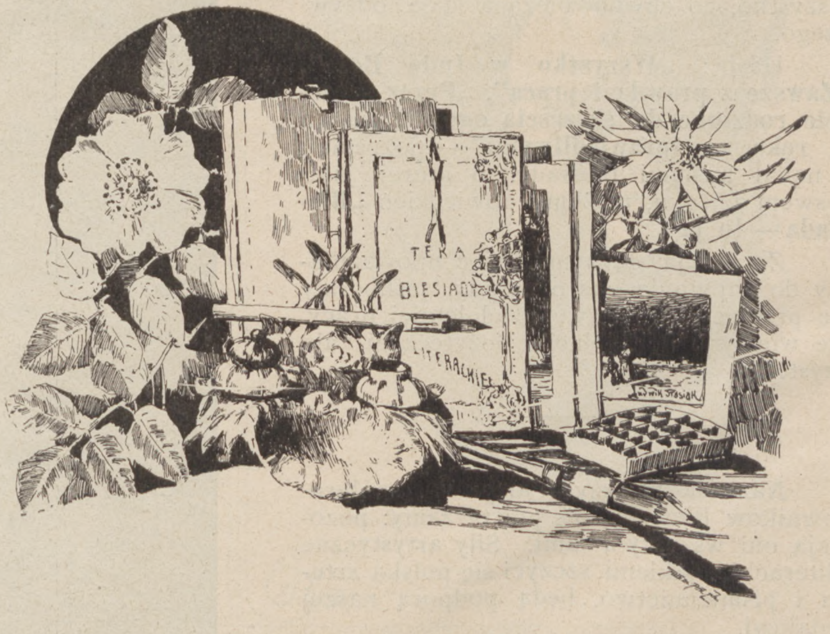
„Przewodnik chronologiczny do dziejów polskich",

ułożony w ten sposób, aby z łatwością można było znaleźć daty, nazwiska i celniejsze zdarzenia. Istnieją wprawdzie chronologie w tym rodzaju, ale uważać je można raczej za próbki, tak są szczupłe i niedokładne. Do **„Przewodnika chronologicznego"** przywiązujemy wielką wartość, więc wydamy go z taką samą starannością, jakiej nie żałowaliśmy dla „Złotej Przędzy poe-

Dział rozrywek, jak szachy, warcaby, szarady i t. p., zostanie rozszerzony i nagrody za najlepsze rozwiązania będą liczniejsze i cenniejsze, niż dotychczasowe.

Kończymy program swój na dalsze lata zapewnieniem, że obowiązuje nas nie tylko to, cośmy uczynić przyrzekli, ale także każda inna praca, która Biesiadzie pomoże do utrzymania stanowiska wśród rodzin polskich, na którem wytrwała dotychczas.

Władysław Maleszewski.



konwenansów, przesądów umysłowych, przeciw rychłemu zapomnieniu, małości serc i mózgów.

Prześlicznym językiem posługuje się autor z łatwością i swobodą, spotykaną dość rzadko u młodych pisarzy.

Są myśli, jest bardzo dużo uczucia, dużo oburzenia szczerego — jest forma wykwintna — a więc wróżby — wróżby zapewne się spełnią.

H. C.

Z PRASY.

Radzimy od kilku tygodni nieprzerwanie nad sposobami zabezpieczenia mieszkańców Warszawy wogóle, a jej ubogiej ludności w pierwszym rzędzie od wyzysku hurtownych handlarzy węgla i można powiedzieć, że nie uradziliśmy dotąd nic zgoła. Zima nadeszła, węgiel zamiast stanieć podrożał już w dwójnasób, a więc wychodzi na to, że zarówno postanowienia municypalności i jej inicyatywa, jak dorady, suggestye i pomysły prasy, okazały się niewystarczającemi. Ludzie mniejszej czy większej zamożności mogą uczuć pewne różnice w budżetach swoich, jest jakiś nawet procent takich, dla których zwyżka tego niezbędnego artykułu zupełnie jest obojętną i którzy się o niej zaledwie kiedyś z podawanych rachunków dostawcy dowiedzą, ale ludność wyrobnicza, ale małe kilkusetrublowe budżety roczne stoją bezradne wobec klęski prawdziwej, jeśli jakimś nareszcie środkiem stanowczym swawola spekulacyi ukróconą nie zostanie. Mieć chore dziecko w nieopalonej wilgotnej suterenie, stać nad niem z rozpaczą w sercu i biernością niemocy, są to niedole, o których kwilenia belletrystyki dają wogóle nader słabe wyobrażenie. Opisów ,nędzy, nawet bardzo udatnych opisów, sporo ma obce i nasze powieściopisarstwo, a tymczasem tej papierowej nastrojowej Golgoty czuły czytelnik, siedzący w łagodnej, rozmarzającej atmosferze swojego mieszkania, nigdy sobie jakby należało nie dośpiewa, a choćby i dośpiewał jeden, drugi i dziesiąty, to i tak ciepła łza staczająca się po jego obliczu (zauważyliśmy, że osoby tej kategoryi mają oblicza nie twarze) nie ogrzeje żadnej takiej sutereny jednym chociażby stopniem, ani pozytywnego nastroju hurtownika węglowego nie roztopi aż do postanowienia obniżki z 2 rs. na 1 rs. 95 kop. za korzec sześciopudowy.

Trzebaby koniecznie czegoś realniejszego od projektów i pomysłów drukowanych, a skuteczniejszego w rozumieniu praktycznem, niż to, czego próbowano dotąd—trzebaby nadto, aby się to coś stało zaraz, dziś lub jutro, albowiem data, pod którą piszemy, najzawziętszemu optymiście nie pozwala oddawać się złudzeniom co do możliwości rychłego podniesienia się termometru.

Bawił w Warszawie w drugiej połowie Października człowiek młody, cudzoziemiec, który pewną wyłączną odrębnością swego uzdolnienia zadziwiał spotykających się po raz pierwszy z rzadkim darem pamięciowym, a i pracowników na polu psychologii i matematyków zawodowych zainteresował sobą bardzo. Jestto niejaki Perykles Diamandi, grek pochodzeniem, znany w Europie zachodniej już od roku 1893, w tym bowiem czasie produkował się ze swoim darem pamięci rachunkowej przed specyalną komisyą akademii nauk i umiejętności w Paryżu. Pisały o nim potem sprawozdania naukowe, a i w innych stolicach zajmowały się jego darem akademie i pojedynczy specyaliści.

Zdolność Diamandi'ego stanowi pewną wyłączność zdawna już znaną w nauce, a i my nawet posiadamy w naszej literaturze pracę oryginalną dr. Szokalskiego noszącą tytuł: „Fantazyjne objawy zmysłowe," która ten przedmiot wyczerpująco traktuje, a z którą czytelnikom znajdującym upodobanie w badaniach psychologicznych, radzilibyśmy się zapoznać. Sam tytuł dzieła zoztrząsającego podobne zagadnienia powinienby wskazać czytelnikom, w jakim szeregu zjawisk pomieszczonym być winien dar, którym się ów młody grek odznacza. Zresztą najlepiej będzie, gdy zostawimy tu głos znanemu u nas powszechnie specyaliście dr. Karolowi Hertzowi, który, jako profesor matematyki, badał Diamandi'ego kilkakrotnie, a nawet dla korzyści młodzieży szkolnej odbywał z nim próby.

Przeszedłszy w pracy swojej rozmaitego rodzaju uzdolnienia wyjątkowe w kierunkach specyalnych, dzieli dr. Hertz wedle patrywań nauki pamięć na: wzrokową, słuchową, dotykowo-mięśniową, niemniej pamięć dającą się odnieść do zmysłów: smaku i powonienia.

Pamięć liczb, o którą nam chodzi w danym wypadku, daje się pod względem dróg, jakiemi się do umysłu ludzkiego dostaje podzielić na wzrokową i słuchową. Różnica między temi dwiema drogami jest w praktycznem rozumieniu ta, że podczas gdy rachmistrz wzrokowy widzi niejako cyfry wypisane przed sobą, osobnik posiadający dar rachunku słuchowego, zatrzymuje w pamięci dźwięki oznaczające te cyfry. Zdaniem dr. Hertza Diamandi liczy się do kategoryi pierwszej.

Podczas pierwszej produkcyi swojej w redakcyi „Kuryera Warszawskiego" wypisano mu na tablicy szereg kilkudziesięciu cyfr rozmieszczonych w formie prostokąta. Na krótką chwilę zwrócił się Diamandi ku tablicy i raz jeden spojrzał tylko na te cyfry, poczem patrząc w stronę wprost przeciwną, wymienił je wszystkie czytając w kierunku poziomym, pionowym, a nawet skośnym i gzygzakowatym, nie zrobiwszy ani jednej pomyłki. Następnie w ciągu *trzech minut* obliczył wiele jest sekund w 57 latach licząc rok dni 365, 5 godzin, 48 minut i 15 sekund. Zwracamy uwagę, że liczba ta mieści 10 cyfr. Dalej dano mu kilka rachunków do zrobienia, a mianowicie:

I) $76{,}794 \times 35{,}876$.

II) 34^2— III) 3^{15} IV) 7^{15} V) 24^4.

Wszystko to obliczył doskonały rachmistrz bez żadnej pomyłki w ciągu 8 do 9 minut. Było tam jeszcze wyciąganie pierwiastków kwadratowych i sześciennych. Nakoniec nie patrząc na tablicę, na której stały wypisane te wszystkie rachunki, wymienił bez zmyłki koleją użyte do nich cyfry, a było tych cyfr kilkaset. Nadmienić wypada, że Diamandi nietylko nie jest matematykiem, ale nawet, jak sprawdzono, źle sobie radzi z ułamkami.

W konkluzyach swoich potrąca też dr. Hertz o kwestyę, która każdemu na myśl przyjść musi, mianowicie czy jest jakikolwiek związek między darem rachunku pamięciowego a zdolnością rozumowania, bez której niema matematyka. Otóż stwierdziła nauka, że to są uzdolnienia całkowicie odrębne. Najznakomitsi ze znanych dotąd rachmistrzów, a między nimi Daze, o którym także obszernie pisze dr. Szokalski, nie mieli wcale zdolności matematycznych, ale z drugiej strony są wielcy matematycy, jak Anglik Wallis i niemiec Euler, którzy posiadali dar szybkiego i dokładnego rachunku pamięciowego.

Uzdolnienia tego rodzaju popłatne są wogóle nietylko jako produkcye estradowe. Piszący te słowa widział sam w latach sześćdziesiątych, w jednym z niemieckich wielkich domów bankierskich osobnika, siedzącego na wzniesieniu w końcu sali, mieszczącej dwudziestu blizko pracowników handlowych. Każdy z nich zadawał mu pytania, aby sobie nie zabierać czasu rachunkiem, a na te pytania odpowiadał pamięciowy rachmistrz w cyfrach z błyskawiczną szybkością i akuratnością nie zawodzącą nigdy.

S.

Helena Geysinger.

NICI PAJĘCZE.

NOWELA.

(Dalszy ciąg).

O małżeństwie jej nie myślał dotąd nigdy. Była bardzo młodą, i sądził, że będzie bardzo trudną w wyborze. Przyznałby jej słuszność, gdyby odrzuciła nawet t. zw. najlepsze partye. Zdawało mu się, że w tem, jak we wszystkiem zresztą, kierować się będzie dziewiczą swoją fantazyą. Nie zdziwiłby się więc, gdyby oddała serce jakiemu długowłosemu poecie, gdyby zachwyciła się śpiewakiem występującym w bohaterskiej roli, lub postanowiła poślubić jakiego ubogiego samotnika, jakiego cierpiącego kalekę, w celu niesienia mu pociechy — bo Ella miewała fantazye i w tym rodzaju. Ale tak najprościej, najnaturalniej w świecie podać rękę stryjecznemu bratu, towarzyszowi lat dziecinnych, chłopcu nie wyróżniającemu się niczem — tego pan Tomasz właśnie zrozumieć nie mógł. Po krótkim jednak namyśle doszedł do przekonania, że szalona dziewczyna postąpiła tym razem bardzo rozsądnie, i głębokie zadowolenie wstąpiło do jego duszy. Czy Ella będzie szczęśliwą w tym związku, nie rozważał już dłużej. P. Tomasz, żyjący szczerze chwilą obecną, w naturze swojej miał to, że nie lubił odsłaniać tajemnic przyszłości. Rozpogodzony więc i wesół udał się po skończonem śniadaniu do pokojów córki.

Karol i Ella siedzieli przy sobie trzymając się za ręce, widocznie upojeni i szczęśliwi.

Dziewczyna spostrzegłszy ojca zerwała się, pobiegła ku niemu i ładnym, dziecinnym ruchem zarzuciła mu ręce na szyję.

To zerwanie się miało w sobie podobieństwo jakieś do cichego lotu białego ptaka. Dziewczę w białej sukience, z długim, płowym włosem, rozsypanym po ramionach, wiotkie, smukłe, drobne, plamą jasną padło na piersi ojca. Pan Tomasz pocałował ją w czoło, pogładził po miękich, jedwabistych włosach, potem jął przyglądać się jej z pewnem zaciekawieniem.

Ella miała cerę bardzo białą i bladą, rysy drobne, ładne różowe usta, uśmiechające się nie często, ale prześlicznym, słodkim uśmiechem. Największym czarem tej twarzyczki były oczy wielkie, ciche, koloru *wody morskiej*, oczy ocienione długą, czarną rzęsą i łukami ciemnych brwi.

Ubierała się zawsze jednakowo, zawsze biało. Z dziecinnych lat zachowała zwyczaj rozpuszczania włosów. U kogoś innego raziłoby to może, może wyglądałoby na kostyum teatralny, świadczyło o jakiejś afektacyi umysłu i uczuć. Ale ta drobna, nieśmiała dziewczynka miała w sobie tyle prostoty, że nikt nie mógł jej posądzić o chęć pozowania na dziewczę z idylli, czy heroinę romansu. Nie lubiła nawet, gdy nazywano ją Ellą. Miała imię Aniela, i tak podpisywała się zawsze. Ellą w dzieciństwie jeszcze nazwała ją matka, i imię przyjęło się w rodzinie. Było zresztą odpowiednie dla tej istoty powiewnej, mającej w sobie coś rusałczanego, coś z baśni, czy poematu.

Przyjrzawszy się córce, która stała przed nim cicha, z opuszczonemi na oczy rzęsami, Olszyński przeniósł wzrok na Karola, i złączywszy dłonie obojga młodych, począł przypatrywać im się z mięszaniną rozrzewnienia i ciekawości.

— No, niebrzydką tworzycie parę — rzekł po chwili.

Istotnie Karol, typ pięknego bruneta o smagłej cerze, koralowych ustach i płomiennych oczach południowca z jasnowłosą Ellą, tworzyli harmonijne zestawienie kontrastów.

Pocałunki, uściski zakończyły scenę.

— Ładnie tu u ciebie i słonecznie, moja Ello — rzekł pan Tomasz, siadając na miękiej kanapce, i wzrokiem pełnym zadowolenia obejmując salonik córki, urządzony z artystycznym smakiem, i w sposób dosyć oryginalny — bardzo ładnie, ale na świecie dziś jeszcze ładniej. Czy nie chcielibyście skorzystać z ostatniego może pięknego dnia w tym roku? Cudowna jesienna pogoda! Kazałem założyć konie, pojedziemy za miasto. Co?

— W pole! W pole! Ach, jak to dobrze! — pierwsza zawołała Ella radośnie.

— Jedźmy, jedźmy!—powtórzył Karol, ucieszony nadzwyczajnie tym, pospolitym bardzo projektem.

Pan Tomasz popatrzył na nich z pobłażliwym uśmiechem.

— No, więc ubieraj się Ello, a prędko! Korzystajmy z południowych godzin. Wiecie, że chłód wieczorny mi szkodzi.

W białej czapeczce, w białych puszkach dokoła szyi, Ella wydawała się jeszcze drobniejszą, młodszą—dzieckiem prawie.

Wyszli — salonik zaległa cisza; promienie słońca przesuwały się zwolna po ścianach; z krzaków rozkwitłych róż tworzących na środku pokoju wonną, barwną grupę, przeszły na rozpoczęty obrazek; w jaskrawe już blaski przybrały powiewne, przezrocze ciała jakichś nimf czy rusałek, potem załamały się w kryształowym wazonie, i zgasły. Mrok zapanował w pokoju.

A oni tymczasem chodzili wśród suchych, pożętych ściernisk, śród pól okrytych świeżą zielenią ozimych zasiewów. Niebo uśmiechało się do nich łagodnie bladym błękitem, słońce rzucało im blaski niejaskrawe i niegorące promienie. Wobec tego konania przyrody, zamierającej słodko, spokojnie, jakby z nadzieją przebudzenia się, odrodzenia w bogactwie nowych kształtów, w szacie młodej zieleni, w nowych blasków uroku—oni oboje stali szczęśliwi, upojeni sobą, niosąc w duszach niebo zachwytów, wiosnę miłości—pełni drżeń tajemnych, słów niedopowiedzianych i niepojętych.

W ciepłem powietrzu wzlatywał w górę skowronek, nucąc ostatnią może, pożegnalną piosenkę. Im się wydało, że śpiewa o miłości. Wietrzyk łagodny muskał ich skronie, pieścił. Ten wietrzyk był dla nich miłości posłem. Usta ich stroiły się w uśmiechy, ale słów im brakło. W braku słów mówili do siebie oczami. Kocham! — wołały płomienne źrenice Karola — Kocham na śmierć i na życie!

— Na śmierć i na życie! — odpowiadały z pod długich rzęs głębokie, tajemnicze oczy Elli.

Weszli w las złoty od pożółkłych liści brzóz i klonów — purpurowy od koralów jarzębiny i czerwonego bzu. Szli po opadłych liściach szeleszczących im pod nogami.

— W tym chrzęście jest coś złowróżbnego— powiedziała Ella.

Zaczynała ją *brać* melancholia rozlana w przyrodzie.

— Chodźmy ztąd, ten lasek taki smutny.

Wyszli na pole. Na krańcach widnokręgu ginęło w mgłach stado wędrownych ptaków. Ella długo patrzyła za nimi, i cień jakiś występował na pogodną jej twarzyczkę.

— Smutno mi — powiedziała szeptem.

— Smutno ci Ello? I dzisiaj smutno? Wrażliwe ty dziecko! Więc, że liście szeleszczą poschłe, że ptaki odlatują, ciebie smutek ogarnia! Ptaki wrócą, nowe liście się zazielenią, a my wtedy pofruniemy w dal... Zabiorę cię już moją—już moją na wieki! I nie pozwolę melancholizować...

— Nie pozwolisz? Czyż na to trzeba pozwolenia? Smutek bez pytania wchodzi do duszy...

— Ja przed nim zamknę drzwi... pocałunkiem.

I nagle onieśmielony jakiś chwycił tylko drobną dłoń dziewczęcia i zaczął całować gorąco.

Szli teraz polem skoszonej koniczyny. Od źdźbła do źdźbła snuły się tam białe nitki pajęcze. W blasku słońca pole całe wyglądało jakby przysłonięte przezroczą, błyszczącą tkaniną.

— Patrz—rzekła Ella—za każdem stąpnięciem zrywamy jedną nitkę pajęczyny. Psujemy pracę, udaremniamy wysiłek biednych istot, które tą siatką błyszczącą osnuły całe pole... A może te nici, to symbole losów czyich?

Pomyśl, może zrywając je, zrywamy życie, więcej niż życie czyje.

O patrz, to włókno, to może słaba nić sławy młodzieńczej — już ją zerwałam. A ta— to życie małej dzieciny. Matka składa ręce prosi za nią Boga — napróżno... nitka na zerwanie skazana. A ta to nić wielkich szlachetnych zamiarów. Nocami snuł ją duch potężny—snuł wysiłkiem umysłu, bólem serca, hartował płomieniem woli, jedna chwilka... i nić się zrywa! Czy ci nie żal? A tu patrz— to nić snów młodego marzyciela. Biedne sny! Biedne sny!.. Widzisz stąpamy, jak przeznaczenie—nieubłagani. Patrz, a to nić szczęścia — piękna, długa nić... może jednego człowieka, może milionów — już zwinęła się w kłębek, stargana. A tu.. stój, to nić miłości, naszej miłości srebrna nitka... ostrożnie... Ach! już ją zerwałeś...

W oczach dziewczyny podniesionych na niego z bolesnym wyrzutem, palił się niezdrowy płomień. Uniosło ją marzenie; z początku fantazyowała tylko, potem mówiła z taką wiarą, tonem tak szczerego przekonania, że Karol stał przed nią zmieszany, nie pojmując tej egzaltacyi, nie wiedząc, jak przeciwdziałać temu podnieceniu gorączkowemu. Drobna twarzyczka jej wykrzywiła się niewymownym bólem, w oczach widniało przerażenie.

— Sam ją stargałeś, sam! — powtarzała przejmującym tonem.

— Nie! nie! ukochana ty moja! Naszej miłości nić nie zerwie się nawet wtedy, gdy zerwie się nić życia. Poniesiemy ją w inne światy, poza grób, w inne życie!

Porwał ją w ramiona, całował usta, oczy... jakby zetrzeć z nich chciał wyraz bólu i trwogi...

Dziewczyna bezwładna niemal, upojona, poddawała się tej namiętnej pieszczocie.

Naraz tuż koło nich rozległ się huk strzału. Ella padła na ziemię zemdlona.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Ś. † P.

Bolesław Hirschfeld.

W dniu 4 Listopada złożono na cmentarzu Powązkowskim sprowadzone z obczyzny śmiertelne szczątki cichego pracownika błogosławionego trudu, dobrego obywatela kraju — człowieka, który nie szukając rozgłosu, zdołał zapisać imię swoje w sercach blizkich, dalszych i takich nawet, którym o istnieniu jego wśród nas, śmierć pierwsze dopiero powiedziała słowo.

Jałowym, zadawnionym a gorszącym sporom kres położyćby mógł obraz tego życia ofiarnego, które najwymowniej poucza treścią swoją, jak wyobrażać sobie należy owe mistyczne wrota prowadzące do głębi serca tej społeczności.

Pokój jego popiołom — wdzięczna pamięć dla jego pragnień i trudów!

KRONIKA.

Dla nauczycieli.

Zwierzchnicy szkół początkowych, jak się zdaje, płci obojej, mają mieć znaczne ułatwienia przy zwiedzaniu wystawy Paryzkiej roku 1900. Dzięki staraniom zarządzającego rossyjskim oddziałem naukowym p. Kowalewskiego, ułożone zostały między nim a merem miejscowym warunki, na jakich oddanym będzie gmach szkoły początkowej imienia Saya dla użytku przybywających do Paryża nauczycieli przez ciąg cały feryi letnich. Zapowiedzianem jest przygotowanie 100 łóżek, które wraz z pościelą oddane będą do rozporządzenia tych cudzoziemskich pedagogów elementarnych—koszta dziesięciodniowego pobytu osoby obliczono między 15 a 20 rubli. Kuchnia, w której wydawane być mają śniadania i obiady, mieścić się będzie w gmachu szkolnym. Dodatkowo prowadzi tenże zarząd podobne układy z merowstwem Paryzkiem o przygotowanie dla nauczycielek przybywających z Państwa Rossyjskiego odpowiedniego przyjęcia.

Do upowszechnienia.

„Słowo" pomieszcza wiadomość wziętą z Paryzkiego „Univers," którą podajemy poniżej w odpisie dosłownym.

„Rodaczka nasza panna Tylicka, zdając egzamin na doktorat przed paryzkim fakultetem medycznym, poświęciła swoją tezę temu, co nazywa narzędziem tortury, czyli doniosłej sprawie gorsetu. Panna Tylicka dowodziła, że gorset jest w najwyższym stopniu antihygienicznym; uciska on i wtłacza sześć ostatnich żeber, wywołuje zaburzenia w oddychaniu, krążeniu krwi i trawieniu, deformuje wątrobę i kolumnę pacierzową, rozwija anemię, wreszcie sprzyja histeryi. Doktorka nasza pragnie zastąpić ten zabójczy artykuł toaletowy gorsecikiem płóciennym, zastosowanym do figury, sięgającym tylko do pasa, zapinanym z przodu na guziki i zaopatrzonym tylko w dwa fiszbiny po bokach.

Jest mniemanie na doświadczeniu życiowem oparte, że oddziaływanie prawdy jakiejkolwiek zależnem jest nietylko od jej treści, ale i od dróg, któremi się ta prawda do umysłów ludzkich dostaje. Otóż tym razem to już nie mężczyzna, ale kobieta apostołuje w tej sprawie, którą tak często poruszamy—nie pedantyczny zrzęda jakiś, ale kobieta młoda, wchodząca dopiero w szranki czynne swojego zawodu. Może jej słowo ostrzeżenia skuteczniej, niż poprzednie przemówi do zdrowego rozsądku pokolenia kobiecego.

Pogadanka.

O modach.

W Longchamps w Paryżu odbyły się doroczne jesienne wyścigi. Pogoda dopisała — gdy w przeszłym roku panie ukazały się w futrach i wysokich kołnierzach, otulone po uszy, tego roku iście wiosennego używały powietrza.

Na tych wyścigach spódnicę plisowaną, o której jeszcze warszawianki pojęcia nie mają, spotykało się na każdym kroku. Spódnica cała w drobne zakładeczki maszyną odszyte—oto rzecz w tej chwili najwięcej w Paryżu rozpowszechniona. Do najładniejszych zaliczają się plisowane w pojedyncze grupy po trzy razem, między temi odstęp na trzy ctm. szeroki. Fałdeczki idą od samego pasa do dołu sukni, na dole rozrzucają się swobodniej, chociaż zawsze plisowane, staniczek odpowiedni, w zakładeczki także nawet i rękawy.

Wyróżniała się na wyścigach toaleta, której tył u spódnicy był cały namarszczony. Z czarnego aksamitu wykonana, była modelem jednego z większych magazynów, zatem nie wybrykiem chwilowym, tylko zapowiedzią nowej zmiany w kroju spódnic. Staniczek do tej toalety przybrany był haftowanym atłasem niebieskim. Kolor niebieski jasny należy do uprzywilejowanych w tym sezonie. Suknie całe, nawet kapelusze filcowe w tym kolorze są najmodniejsze. Wielki dostawca paryzki Pagnin, nakazał cały szereg płaszczy w kolorze błękitnym. Wszystkie długie do samej ziemi, przybrane są potrójnymi wolantami *coupés en forme*; zdobią je od góry rodzaj bolera z pasmanteryi lub galon haftowany pięknie, otaczający biust wkoło, nadaje on płaszczowi styl empire. Krój tych płaszczy oryginalny i nowy, lecz czy piękny—najlepiej to panie osądzą.

Na wyścigach zauważono także jesienne nowe żakiety; modne paletot-sac z sukna w kolorze piaskowym, przybrane od dołu wolantem. Podszewka była z białego atłasu z ruszami z mousseline de soie, które wzdłuż przodów ukazywały się od spodu. Na ramionach pelerynka miękka opadająca z grubej gipiury w kolorze ivoire, poprzeszywana wązkimi paseczkami sobolowymi, trzy lub cztery razy wokoło.

Z toalet na trybunach, zwracała uwagę dama w toalecie białej zaplisowanej od góry do dołu po trzy fałdeczki razem; odpowiedni do tego stanik zapinany z boku pod ramieniem; zapięcie ukryte pod zakładkami, tak że go zupełnie nie było widać. Taki sam rękaw.

Dalej suknia *en drap ciel* w zakładeczki w większych odstępach. Spódnicę od dołu zdobił wolant plisowany, przytrzymany pasem z tego samego sukna, haftowany w piękne wzory. Drugi taki pas szczepiał fałdy opadającej na to spódniczki drugiej czy tuniki. Od pasa aż poza biodra spódnica przeszytą była stebenką maszynową kilkanaście razy „en cerceaux." Bluzka plisowana także tak samo jak spódnica miała karczek przestębnowany maszyną w drobne krateczki. Renwersy i kołnierz z żółtawej były gipiury.

Dużo spotyka się także kostiumów skromnych wizytowych; spódnica gładka, stanik w rodzaju długiego żakiecika wycięty w zęby. Szwy i kontury takiego staniczka pokryte są haftem.

Wspomnieć jeszcze raz musimy o szarfach, które wyróżniano na wyścigach. Długie z boku od paska idące, lub krótkie przyczepione do stanika—ot co na razie zanotować było można. Jak dotąd wszystkie w kolorze czarnym z crêpe de Chine. Brzegi oszyte frendzlą, która coraz więcej w użycie wchodzić zaczyna; już staniki nawet nią przybierają, używając krótkich, spódnicę zaś zdobi zwykle taka sama, tylko znacznie dłuższa frendzla. Przy szarfach wspomnieć także należy o rzeczy bardzo ładnej i efektownej t. j. o pasku szerokim zwanym „ceinture—corselet." Wymyśliła go potrzeba; panie noszące krótkie, obcisłe i zapięte bolera zapotrzebowały czegoś do dokończenia toalety. Otóż taki „corselet" osobno skrojony, obcisły, robi się z odrębnego koloru materyi lub też tego samego co suknia, lecz wyszyty lśniącym haftem. Widzieliśmy prześliczny przy popielatej sukni „corselet," nabity stalowymi gwoździkami.

Wskazówki i rady.

Czekolada.

Czekoladę, napój tak lubiany, mało gdzie w prywatnych domach umieją dobrą podać. Są nawet jeszcze tak zacofane gospodynie, że ją zaprawiają żółtkiem. Używając dobrej czekolady i biorąc jej cztery łuty na średniej wielkości filiżankę, będziemy mieli zawsze dobrą czekoladę, nawet gotując ją na wodzie, kładąc tylko na wierzch łyżkę kremu czyli bitej słodkiej kremowej śmietanki z cukrem. W pierwszorzędnych cukierniach pytają nawet często żądającego, czy ma być na wodzie, czy na śmietanie lekkiej. O mleku niema mowy, bo będzie zawsze mdława. Zaprawiona żółtkiem tworzy jakiś napój bez oznaczonego smaku, gęstawy, a często zwarzony. Najlepiej gotując, rzucać utartą czekoladę w gorący ukrop, mieszając aż do zagotowania. Można w ugotowaną na wodzie wlać, jak do kawy, kilka łyżek dobrej śmietanki. Wszystkie te warunki stosują się i do gotowania kakao, którego wyrób holenderski daje najwyborniejszą czekoladę.

Lucyna Ćwierczakiewiczowa

☞ Do numeru dzisiejszego dołącza się dodatek z modami, arkusz z krojami i prospekt „Tygodnika Mód i Powieści."

Gotowa bielizna damska i męzka.

GŁÓWNY SKŁAD ŻYRARDOWSKI

w Warszawie, Krakowskie-Przedmieście 55,

poleca na sezon jesienny i zimowy:

Flanele, Barchany, Materyały puchowe. Kołdry watowane, flanelowe i pluszowe. Ciepłe wyroby pończosznicze.

Płótna, ręczniki, chustki, stołowa bielizna letniego bielenia. Materyały meblowe.—Dywany.—Portyery.—Firanki. 41

Gotowe wyprawy od 100 rubli.

Gotowa bielizna damska i męzka.

Lekcyi Tańców

podług najnowszej metody, ***ulica S-to Krzyzka Nr. 13*** wprost Włodzimierskiej.

Zapisy przyjmują się od 12 do 8 wieczór. 169

Dla małych dzieci udzielają się lekcye w godzinach poobiednich.

Wiktor Nauman.

Nowootworzony skład dywanów *ul. Erywańska 14.*

p. fir. K. Kruszyński i L. Miciński

poleca: wybór firanek, obić meblowych chodników i t. p. — Ceny nizkie.

Sprzedaż za gotówkę i na raty. 1028-52-46

Tanio, bo na 1-em piętrze! 164

Marszałkowska Nr. 87, róg Wspólnej.

→ P. MARCINKOWSKI i S. TOMCZAK ←

Pracownia Wieńców, Bukietów Makarta i Palm.

Przyjmuje obstalunki na roboty ze świeżych kwiatów. Ceny nizkie.

Pracownia Sukien i Konfekcyi Damskiej

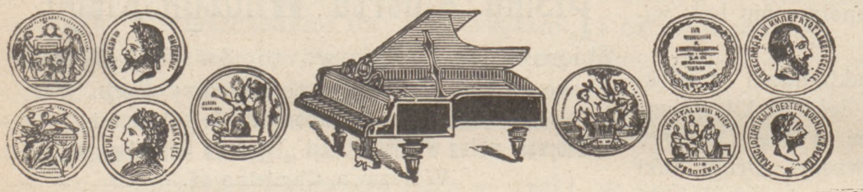
pod firmą

„HELENA"

Warszawa, ulica Trębacka № 5.

wykonywa wykwintnie wszelkie obstalunki tak z własnych jak i powierzonych materyałów, podług najnowszych fasonów, po cenach bardzo przystępnych.

Suknia od 10-ciu rubli. 150



MAŁECKI

Fabryka Fortepianów i Pianin

Jedyna fabryka w kraju nagrodzona medalami na wszystkich wystawach wszechświatowych 71M

17. Krakowskie-Przedmieście 17.

Dla kaszlących i osłabionych Ekstrakt i Karmelki

LELIWA

W składach aptecznych i Aptekach. 135

Magazyn Bławatny

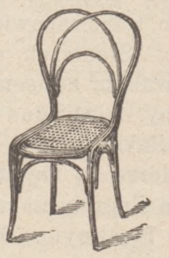
L. KUMMANT

Marszałkowska № 101

poleca na nadchodzący sezon:

Wielki wybór nowości na suknie, peleryny i żakiety. Wszelkie podszewki jedwabne i bawełniane. Bieliznę stołową, płótna, pół-płótna i perkale.

Wielki wybór materyałów na mundurki. 104



„FENIKS"



NOWO-OTWORZONY

w Warszawie 118

ZAKŁAD REPARACYJNY i KONSERWACYA MEBLI

przy ul. Chłodnej Nr. 46. Telefon Nr. 663.

Przyjmuje do naprawy i odświeżania wszelkie meble od najskromniejszych do najwykwintniejszych oraz meble gięte.

Sumienne, szybkie i tanie wykonywanie zleceń, daje rękojmię, że Zakład zadowolni najwybredniejsze nawet wymagania Szanownej Klijenteli.

Meble odnowione w Zakładzie firmy „Feniks" niczem nie różnią się od zupełnie nowych. Nadto Zakład podejmuje się za bardzo przystępną cenę konserwacyi mebli, tak w instytucyach rządowych i publicznych, jako też w hotelach, cukierniach, restauracyach, sklepach i mieszkaniach prywatnych.

Tamże wynajem z dostawą stołów oraz krzeseł na rauty, bale, wesela i wszelkie zebrania.

Telefon № 663. ***Władysław Benzef.***

Nowo-Otworzony

Skład Materyałów Aptecznych

I. Tałasiewicza,

№ 51. Marszałkowska № 51.

Poleca wszelkie towary w zakres składu wchodzące w wyborowym gatunku, po cenach umiarkowanych. 156

Nowo-otworzony Sklep Ogrodniczy 163

„VIOLETTE"

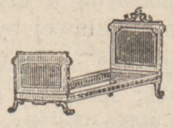
Erywańska 16, wprost Magazynu Hersego, 2-gi dom od Marszałkowskiej.

SZKOŁA kroju i szycia, PRACOWNIA ubiorów damskich

Maryi Maciejowskiej

NOWY-ŚWIAT 56, m. 5.

Mam honor zawiadomić osoby interesowane, że po zwiedzeniu najpierwszych zakładów paryskich, pomiędzy innemi i szkoły p. Abla Goubaud, stosuję w moim zakładzie widziane tam ulepszenia w kroju, pasowaniu i szyciu. 49



ŁÓŻKA, WANNY, UMYWALNIE,



Naczynia kuchenne i gospodarcze

J. ZABOKRZECKI & S-ka

Plac Teatralny obok Ratusza.

Skład Wyrobów Platerowanych

Jakóba Fuchsa

Żabia N-r 4, filja: Marszałkowska N-r 132,

Łódź - Piotrkowska № 35,

polecając uwadze Sz. Publiczności składy swe stale zaopatrzone w wielki wybór towarów platerowanych, tak własnego wyrobu, jako też Akc. Tow. Norblin, B-cia Buch i T. Werner, również bogaty asortyment pięknej zagranicznej galanteryi, jako to: Albumy, Necessery, Nippy, Bronzy, Terakotty, Przybory tualetowe etc. etc. Zapewnia, że staraniem naszem będzie doborem towaru, przystępną ceną i akuratną obsługą pozyskać na stałe zaufanie Sz. Publiczności.

Zwracamy uwagę, że z dniem 15 listopada r. b. rozpoczniemy przy ulicy Żabiej N-r 4 wielką wyprzedaż przedświąteczną zaasortowanych towarów po niebywale nizkich cenach. 176



Aparaty Anschütza. Aparaty „Photo-jumelle," „Self-Worker" i „Verascope," najnowszej konstrukcyi. Najnowsze wywoływacze. Klisze „Atlas," „Fotol" i in. nowości. 50

poleca

P. LEBIEDZIŃSKI

Krak.-Przedm. 65. Telefon 1517.

Дозволено Цензурою Варшава, 25 Октября 1899 г. Redaktor Jan Skiwski. DODATEK.

Wydawnictwo Druk Warszawskiego Towarzystwa Akcyjnego Artystyczno-Wydawniczego.

Andrzej Theuriet.

ZACISZE

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA.

(Ciąg dalszy).

Listopadowe zimna i gruba warstwa śniegu, który pokrył teraz doliny górskie, zamknęły tę rodzinę w czterech ścianach domu, i zmusiły kobiety do obmyślenia dla siebie czynnego trybu życia na cały kilkomiesięczny sezon zimowy. Robert jednakże, który tak upragnął tego osamotnienia, po paru tygodniach uczuł się pognębionym, zwłaszcza, że konieczność postanowienia jakiegoś i ostatecznej z matką rozmowy nie dawała mu pokoju. Zwlekał od dnia do dnia, ale w końcu zawstydził się swego braku decyzyi, i nie śmiejąc ustnem porozumieniem wszystkiego odrazu na kartę postawić, zapowiedział listownie swoje odwiedziny, wzmiankując o śmierci pana de la Bannerie, i dając do zrozumienia jak mu pilno jest wyjść raz z fałszywego położenia, w jakiem się znajdował; o czem, dodał, ma się z matką naradzić za bytnością u niej.

Z niepokojem zaczął potem wyczekiwać odpowiedzi, ale ta we dwa tygodnie zaledwie przybyła do Zacisza i nie była bynajmniej z takich, które niepokoje i wyczekiwania wynagrodzić mogą.

„Winszuję Ci Synu kochany — pisała pani de Bellevaux — pomyślnego biegu twoich interesów, bo nie przypuszczam, abyś bez wyjątkowej zupełnie niezależności majątkowej, powierzał obcym rękom kierownictwo twego przedsiębiorstwa. Ja to rozumiem dobrze, bo sama mimo czterdziestu lat pracy, na zbytek podobny dotąd sobie pozwolić nie mogłam. Oznajmiasz mi przybycie swoje, co mnie bardzo ucieszyło, bo dotąd odwiedzinami swemi nie psułeś mnie zbytecznie. Co do rady, której jak słyszę, zamierzasz odemnie żądać, mogę Cię zapewnić, że będzie ona jak zawsze szczerą i bezinteresowną, co wyraziwszy przesyła Ci swoje uściśnienia Twoja Matka

A. de Bellevaux."

Zawsze ta sama, myślał Robert gniewnie, odsuwając list od siebie. Nie chce nic wiedzieć o Łucyi, udaje nawet, że nie domyśla się jej obecności w Zaciszu. Zobaczymy, kto ustąpi tym razem. Ale mimo tej stanowczości, nie miał odwagi pokazać listu Łucyi, bo w istocie chłód jakiś szczególny wiał z tych kilkunastu wierszy. Zresztą upokarzał go ten list w jego własnem przekonaniu.

Postanowił też zatrzymać treść pisma przy sobie, nie biorąc w rachunek tego, że Łucya odbierając pocztę z rąk listonosza, wiedziała o nadeszłej odpowiedzi i samo milczenie, jako dowód nieprzyjaznych uczuć matki wziąść musiała koniecznie.

Po zadymkach górskich, przypadających zawsze w początku zimy, ustaliła się pogoda, niebo odzyskało swój lazur żywy, a jasne słońce grudniowe ożywiło panoramę południowego stoku łańcucha gór, u stóp których leżało Talloires. Mimo to, temperatura obniżała się, a wiatr wschodni dopomagał jej tak skutecznie, iż pewnego poranku ukazało się oczom mieszkańców Zacisza jezioro martwiejące powoli, blizkie już swego zimowego spoczynku. W ciągu następnej nocy połączyły się ze sobą pojedyńcze plamy strzeszy lodowej i nareszcie nie było widać nic więcej, prócz niezmiernej płaszczyzny śnieżnej niebieskawego odcienia, otoczonej ramą skalistych gór.

Krajobraz miał na daleką metę wszystkie odcienia barw białych; płaskowzgórza winnic usiane punkcikami regularnymi szczepów winorośli, podobne były do olbrzymiego kobierca gronostajowego, sędzieliznę drzew zrywał wiatr swawolny w godzinach południowej odwilży, a stalaktyty kaskad zamarzłych na cyplach górzystych, podobne były do koronek, misternie rzeźbionych dłonią snycerza.

Oparta o galeryę werendy Odetta, wpatrywała się często z zachwytem w te dziwy królestwa zimy, i obraz cały nabierał w jej wyobraźni postaci jakichś szlaków zaczarowanych, wiodących w krainę snów. Tak stała pewnej niedzieli, wsłuchując się w daleki, a zbliżający się ciągle odgłos dzwonków; niebawem ukazały się za kratą willi sanki, a w nich okryci futrami panowie Villard ojciec i syn.

Powitanie było uprzejme. Starszy z Villardów opowiadał o niepokoju całej jego rodziny na myśl, co też tam wśród tych zasp śnieżnych robić mogą nieoswojeni z takim klimatem mieszkańcy Zacisza, podczas gdy Maurycy zdawał przed Odettą sprawę z komisu członków klubu łyżwiarskiego, którzy organizując na przyszły czwartek wielką szlichtadę na jeziorze, polecili mu, jak twierdził, zaniesienie inwitacyi dla Odetty i jej rodziców.

— Jesteśmy niesłychanie obowiązani—odpowiedział trochę chłodno Robert na to zaproszenie w imieniu swoich pań—ale drogi są, jak to panom najlepiej wiadomo, nie do przebycia w tym czasie, a my nie mamy na nieszczęście sani, przeto...

Nie dano mu nawet dokończyć, a panowie Viliard jednogłośnie ofiarowali na usługi swoje sanki.

— Ależ Odetta nie ma wprawy żadnej...

— Mam mateczko, mam wprawę. Przecież wiesz dobrze, że uczęszczałam w Tours na ślizgawkę i że przepadałam za tą uciechą.

— A zresztą ja podejmuję się być przewodnikiem p. Odetty—pospieszył Maurycy— a z moją pomocą odzyska z pewnością dawną biegłość.

Robert zachmurzał się coraz bardziej wobec tych nalegań, ale goście nie dawali za wygranę, tak, że w końcu uczuła Łucya, iż odmawiać dłużej było niemożebnością prostą; ułożono się więc, że we czwartek rano sanki Villardów przyjdą zabrać na ową szlichtadę Odettę wraz z matką.

Teren oznaczony był na jeziorze, między wyspą Łabędzi i łąkami należącemi do Albigny. Wzdłuż brzegu ustawiono w pewnych odległościach szałasy dla wypoczynku i ogrzewania się uczestników czynnych zabawy, a dwa bufety, suto zaopatrzone, stały otworem dla tych, którzy uczują potrzebę pokrzepienia sił.

Maurycemu pozostawiono przywilej dopasowania maleńkich łyżew, nabytych dzisiejszego rana, na nóżce jego pięknej towarzyszki, a po wypróbowaniu w kilku ostrożniejszych zwrotach kwalifikacyj łyżwiarskich Odetty, puścili się oboje spragnieni samotności w dal z całą nieopatrznością szczęśliwych, i niebawem znikli z przed oczu zatroskanej pani Łucyi, którą pani Villard zarzucała tymczasem wszelkiemi możliwemi i niemożliwemi uprzejmościami.

Z roztargnieniem odpowiadała na nie matka Odetty, dopóki po jakiejś pół godzinie niespokojnego wyczekiwania nie zjawili się przy bufecie oboje młodzi skąpani w mroźnej wichurze — on dzielniejszy, zdawało się, niż przedtem, dojrzalszy jakiś i rozpromieniony, ona czarująca siłą, zdrowiem i wdziękiem. Można powiedzieć, że zwracali na siebie uwagę powszechną.

— Mateczko — szczebiotała Odetta — pojęcia mieć nie możesz co to jest. Ucho nie słyszało — oko nie widziało...

Pani Łucya z rozwagą właściwą matkom uspokajała jak mogła roztrzpiotanie dziewczęcia, ale nie była w stanie temu zaradzić, aby po wychyleniu szklaneczki gorącego ponczu nie zabrali się młodzi do ponownego przypinania łyżew.

— Można się zachwycać obojgiem — mówiła do pani Łucyi mama Villard, która świadoma stanu interesów własnych, ale nie odgadująca zgoła nic z tego, co stanowiło wewnętrzne życie mieszkańców Zacisza, wprost domysłami się kierując, od dosyć dawna na zabiegi Maurycego, patrzyła okiem przychylnem. Państwo Villard nie byli bez majątku, ale żyli, wydając cały swój dochód z roku na rok, tak, że o zbieraniu posagów dla dzieci— notabene posagów płatnych przed śmiercią rodziców, nie było nawet mowy. To też, a nie co innego stanowiło odpowiedź na pytanie, dla czego Kamilla Villard mimo urody i wdzięku obejścia zapędzała się w latka i blizka już była tego, co się zowie sianiem rutki, uprawianem jak wiadomo przez panny pewnego wieku. Maurycy był wprawdzie adwokatem przy trybunale departamentu, ale nikt nie słyszał o jego klienteli, a natomiast wszyscy jednozgodnie patrzyli nań, jako na młodzieńca, który się za posagami kandydatek do stanu małżeńskiego pracowicie ogląda.

— Cóż to za rozkosz pędzić przeciw wiatrowi!—mówiła do swego towarzysza Odetta.

— Gdyby to tak na resztę życia razem...— szeptał jej Maurycy, ściskając w męzkiej dłoni swojej maleńką rączkę dziewczyny.

Z żalem spostrzegli jednakże, że słońce pochyliło się za górę przeciwległą, a Odetta, której sumienie wyrzucało teraz, że tak egoistycznie wyzyskuje poświęcenie matki, odezwała się:

— A tymczasem trzeba nam powracać; mama musi się już bardzo niepokoić.

Jeszcze tedy jedna krótka chwila wesołości przy bufecie w przytomności obu matek i siostry Maurycego, jeszcze kilka tajemniczych spojrzeń i uścisków dłoni, i niebawem Odetta okryta futrami, wsłuchiwała się rozmarzona w monotonny brzęk dzwonków, rozlegających się szybkim rytmem odpowiednim do biegu koni, i wpatrywała w odznaczoną na tle księżycowej nocy postać powożącego.

Że tym powożącym był Maurycy, zbytecznem byłoby zapewniać czytelnika.

IX.

Jednostajnie zeszła mieszkańcom Zacisza zima. Dla matki Odetty i Roberta de Bellevaux była ona zawsze trwożnem wyczekiwaniem wypadków, które rychlej lub później musiały nastąpić, przerywanem swobodniejszemi błyskami myśli. Dla Odetty, której młoda wyobraźnia zaspakajała się urokiem pierwszego spotkanego w życiu mężczyzny, zima ta miała swój wdzięk szczególny, pomimo, że Maurycy Villard dosyć rzadko ukazywał się sam lub z rodziną.

Częstszemi o wiele stać się miały te spotkania z wiosną, dzięki przejażdżkom Maurycego, odbywanym zwykle po jeziorze i wycieczkom górskim, których pora zbliżała się teraz.

Pewnego majowego dnia Odetta, która od pierwszego ustalenia się dróg, odbywała swoje codzienne spacery do Roc-de-Chére dla odnawiania konwalii w wazonach salonu, nie doszedłszy jeszcze do tej miejscowości zdziwioną została szybkim tempem zbliżających po za nią się kroków mężkich. Obróciwszy się, ujrzała przed sobą Maurycego.

— Prawie że mnie pan przestraszyłeś—wymówiła głosem bezwdzięcznym. — Co pana sprowadza tutaj?

— Mógłbym szukać wybiegu jakiegokolwiek — usprawiedliwiał się młody człowiek — ale wolę opowiedzieć wprost, jak było. Oto zobaczyłem panią, jak mijałaś mur ogradzający probostwo i nie mogłem się oprzeć pokusie pójścia za panią. Czy mi to będzie darowanem?

Chytry uśmieszek poruszył kąciki ust Odetty.

— Hm... — odpowiedziała z wahaniem — nie było to bardzo poprawne, ale ponieważ i ja chcę być równie szczerą, jak pan, więc powiem krótko, że usprawiedliwienie przyjmuję, i że mogłam doświadczyć w drodze większej nieprzyjemności niż ta, jaką mi sprawiło spotkanie nasze.

— Ach, mój Boże, ja rozumiem przecież—mówił—że tylko dobroć pani....

Zeszli ścieżyną na polanę górską i tu znaleźli bujny, jasnozielony kobierzec, upstrzony bogato rozwiniętem kwieciem, który Odetta codziennie przychodziła zrywać w tej dolince rozkosznej. Maurycy oczywiście nie mógł tym razem na taką pracę pozwolić, i uklęknąwszy u stóp młodej dziewczyny w miejscu, gdzie zbiór zapowiadał się najobfitszy, w milczeniu zupełnem, gorączkowo i z pewnem pomięszaniem współprzytomnem wywiązywał się ze swego zadania, starając się też mechaniczną pracą uspokoić napływ do głowy krwi, której tętno czuł bijące z potrojoną szybkością. Trwało to jednak tak długo, że obustronne milczenie wydało się Odecie nieco kłopotliwem, i dla tego z pewnym odcieniem złośliwości przerwała je pierwsza.

— Wie pan, że jak na człowieka, który tyle miał do powiedzenia, jesteś pan niekoniecznie wymownym.

Fala krwi uderzyła do głowy ponownie Maurycemu, który już zaczął nieco przychodzić do siebie.

— Otóż to, że to wszystko co miałem powiedzieć, naraz mi się ciśnie do myśli i nie wiem sam jak to wyrazić.

Teraz ona znowu uczuła trwogę, przed zbliżającą się chwilą stanowczą, i złorzeczyła sobie szczerze, że ją wywołała nieopatrznie. Serce jej się ścisnęło i pozostawiła wyrazy, dające tyle do myślenia, bez zasadnego dalszego ciągu, a Maurycy, który nie był wcale wymownym, zaczął, znaglony koniecznością dobierać słowo po słowie.

— Panno Odetto — ja kocham panią od pierwszej chwili, i gdybyś mi pani dodała odwagi, to najgorętszem pragnieniem mojem byłoby poprosić rodziców o jej rękę. Najwyższem szczęściem byłoby dla mnie poślubić...

— Ach, mój Boże!—przerwała dziewczyna, spłoszona nagłością tego wyznania, jak gdyby go nie przeczuwała w formie tak zdecydowanej.

— Ja czuję, że znalezienie się moje—usprawiedliwiał się Maurycy—wydawać się pani musi przeciwne wszelkim zwyczajom przyjętym i zupełnie nie na miejscu, ale myślałem, że najlepiej będzie, gdy zacznę od pani...

Odetta nie mogła podnieść wzroku od ziemi.

— Pani milczy — mówił ze smutkiem — najwyraźniej musiałem panią obrazić.

— No... — nie, wymówiła nareszcie głosem przyciszonym, a mimo to sarkastycznym trochę, ale, bo widzi pan są przecież rzeczy, których się nie mówi, a które mimo tego odgadnąć można.

— A więc pani pozwalasz... upoważniasz mnie...

— Oh... to będzie znowu zaprędko...

I przez jej myśl przebiegła błyskawicznie postać Roberta, takiego surowego i nieustępnego we wszystkiem, co dotyczyło etykiety, a wraz z tem wydało jej się, że ten człowiek nie mógłby dobrze przyjąć wiadomości o samowolnem postąpieniu pasierbicy, i dla tego niezdecydowanym głosem zaczęła Maurycemu tłumaczyć teraz.

— Daj mi pan czas do namysłu — pozwól przygotować ich do tej niespodzianki—niechże wpierw pomówię z mamą. My dotąd nie miałyśmy dla siebie tajemnic. Ja jej dzisiaj wieczorem opowiem o wszystkiem co zaszło między nami, no i potem... powiem panu co ona o tem myśli. Dopóki to nie nastąpi, chciej pan być cierpliwym—umiej czekać...

— Przyrzeczże mi pani przynajmniej, jeśli mama nie okaże się przeciwną, że nasuwanie przeszkód i trudności nie wyjdzie od pani.

— No, to... mogę przyrzec — odpowiedziała z rumieńcem na twarzy.

— Ach, pani — jaki ja szczęśliwy jestem, jakbym ja chciał okazać pani wdzięczność moją...

Ale nie umiał tej wdzięczności okazać inaczej, jak pochwyceniem rąk, z których wypadły teraz na ziemię nerwowo ściskane konwalje, i tak stali oboje, nie mogąc wymówić ani jednego słowa wzruszeni, szczęśliwi, pomięszani.

Odetta oprzytomniała pierwsza.

— No, myślę, że dopuściwszy się kroku, do którego bądź cobądź nie tak łatwo będzie nam się przyznać, nie możemy zrobić nic lepszego, jak powrócić do domu, przyczem niepotrzebuję chyba mówić panu, że każde z nas wraca osobno.

I zaledwie dokończywszy, biedz poczęła scieżyną krętą, ale zanim zniknąć miała po za ścianą gęstego lasu, obróciła się raz jeszcze, aby spojrzeć po za siebie.

Maurycy stał nieruchomy w tem samem miejscu.

— Kochanko moja — mówiła pani de la Bannerie do wchodzącej Odetty—masz pałające policzki, a oczy twoje świecą zdrowiem. Można powiedzieć, że te wycieczki robią ci dobrze, a nawet i urodzie nie szkodzą. Wyglądasz bardzo ładnie.

— Ach, bo żebyś ty wiedziała, mamo, co za przygodę miałam w drodze! Przygoda, to nawet mało powiedzieć...

— Patrzajże! To pewnie spotkałaś księcia krwi, który ci ofiarował rękę i tron do podziału.

— No niezupełnie tak było, ale w każdym razie to, co mnie spotkało, ma z sytuacyą, o której mówisz, pewne powinowactwo.

— Nie strasz że mnie dziecko — mówiła zmienionym trochę głosem Łucya, a gdy Odetta milczała, spuściwszy oczy w ziemię, zapytała.

— Czy naprawdę, pozwolił sobie ktoś ubliżyć ci w ten sposób.

— Maurycy Villard był tym winowajcą. I zaczęła teraz opowiadać, jak to niespodzianie zjawił się za nią Maurycy, jak przystąpił do niej nieśmiało, co mówił dalej, ale w miarę jak przybywało szczegółów do faktu głównego, twarz matki wyrażała coraz większy niepokój i niechęć.

— Nie myślałam, żeby ten młody człowiek mógł się zdobyć na coś podobnego.

— Ja mu zrobiłam tę samą uwagę, ale cóż, kiedy on wypowiedziawszy to wszystko, poszedł sobie, a ja nie mogłam przecież zatrzymywać go, żeby się z nim spierać w dalszym ciągu.. A przytem powiem ci mamo, że przemogło u mnie współczucie, bo biedak wydał mi się tak pomięszanym, a taką szczerością tchnęło każde jego słowo...

(*Dalszy ciąg nastąpi*).

TOWARZYSTWO AKCYJNE

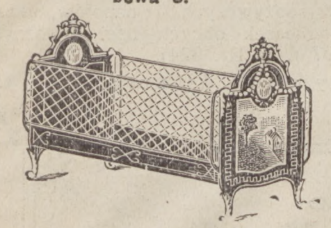
WŁ. GOSTYŃSKI I S-KA

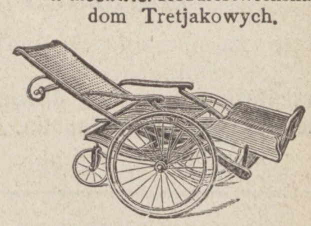
Skład fabryczny: Wierzbowa 3.

Filje: w Łodzi: Piotrkowska 81 w Moskwie: Roždiestwienska dom Tretjakowych.

FABRYKA WYROBÓW ŻELAZNYCH

WARSZAWA, Mokotowska Nr. 3.





POSIADA NA SKŁADZIE W WIELKIM WYBORZE:

MEBLE ŻELAZNE wszelkiego rodzaju: ogrodowe, domowe, szkolne, szpitalne i dla sal chirurgicznych; **Wózki i Welocypedy dziecinne;** Łóżka systemu angielskiego i wiedeńskiego. **Konstrukcye Żelazne:** mosty, wiązania dachowe, oranżerye i t. p., **okna, drzwi, bramy, kraty, balkony,** schody wszelkich konstrukcyi, okiennice składane patentowane. **Wagony Pasażerskie i Towarowe** dla dróg żelaznych podjazdowych. **Kolejki wązkotorowe:** stałe i przenośne oraz wagonetki i taczki wszelkich typów; **Narzędzia kolejowe. Lewary. Slusarstwo ozdobne i Stylowe:** okucia, świeczniki, latarnie, pomniki, żyrandole. **Wyroby blacharskie i kotlarskie:** wanny, piecyki, prysznice, lodownie pokojowe, kubły, klozety, rezerwoary. **Odlewy żelazne,** drzwiczki hermetyczne do pieców. Ruszty. **Prasy do kopjowania. URZĄDZENIA STAJEN i ŁAŹNI.**

CENNIKI NA ŻĄDANIE BEZPŁATNIE. 62

Filje: w Łodzi, Piotrkowska 81; w Moskwie, Roždiestwienska dom Tretjakowych; w Kijowie, I. Kühmaer, Fabryka i Skład Mebli, dom własny; Petersburg, Newski Prospekt N-r 42, dom Armiańskiej cerkwi, vis a vis Gościnnego dworu.

MAGAZYN MEBLI
ANTONIEGO STRÓMIŁO
Bracka Nr. 25.

Poleca: Kredensy, Szafy, Stoły, Łóżka, Umywalnie, Bieliźniarki, całkowite urządzenia pokoi Sypialnych i Stołowych, oraz wielki wybór Mebli wyściełanych.

CENY NIZKIE. 1026-52-42

SZKOŁA KROJU
STEFANII KUCZYŃSKIEJ
połączona ze znaną pracownią ubiorów damskich „Pelagji"
Żórawia Nr. 1,

za pomocą przystępnych w 4-ch językach wykładów wyucza w bardzo krótkim czasie kroju i szycia. Dla uczenic z prowincyi znajduje się na miejscu pomieszczenie z fortepianem, ze staranną opieką domową. 128

Władysław Popiel
Jubiler. Egzystuje od 1858 r.
Warszawa, Senatorska Nr. 6

Poleca wielki wybór biżuteryi gustownej po cenach przystępnych. 1016-26-21

SKŁAD MEBLI LUD. PRASAŁEK. poleca **w wielkim wyborze meble stylowe oraz kompletne urządzenia Salonów, Jadalni, Sypialni i Buduarów** Ceny przystępne. Ulica Bracka 9 róg Nowogrodzkiej. 20

NAJBARDZIEJ ROZPOWSZECHNIONE PISMO POLSKIE

KURJER WARSZAWSKI

WYCHODZI CODZIENNIE,

przy współpracownictwie najpierwszych sił literackich

w dni powszednie wieczorem, a w Niedziele i Święta rano.

Nadto wychodzą stale w dni powszednie z wyjątkiem dni poświątecznych,

BEZPŁATNE DODATKI PORANNE

zawierające wszelkie najnowsze wiadomości z ostatnich 12 godzin. Tym sposobem czytelnicy otrzymują tygodniowo 7 półtora do dwuarkuszowych numerów głównych i 5 półarkuszowych *dodatków porannych.*

KURJER WARSZAWSKI

liczy rok 80 istnienia i jest w stosunku do bogatej i urozmaiconej swej treści

178

NAJTAŃSZEM PISMEM POLSKIEM.

Na szczególną uwagę zasługuje dział *własnych telegramów* Kuryera. W felietonie *Kuryer Warszawski* drukuje Przeglądy literackie i artystyczne, najnowsze romanse, powieści, nowelle i humoreski najznakomitszych autorów polskich, nauka i sztuka traktowane są przez najznakomitszych popularyzatorów. W programat *Kuryera Warszawskiego* wchodzą przeglądy polityczne, artykuły wstępne w sprawach społecznych, ekonomicznych, oraz innych bieżących krajowych i zagranicznych, wiadomości administracyjne tak miejscowe, jako też z prowincyi i innych krajów; głosy gazet ruskich i zagranicznych; sprawozdania sądowe i porady prawne, kursa i telegramy giełdowe, zbożowe i z handlu wszelkiemi innemi produktami; odpowiedzi od redakcyi na wszelkie zapytania czytelników; wiadomości kościelne i urzędowe, wykazy wylosowanych papierów publicznych; logogryfy, szarady, zadania arytmetyczne, szachowe i t. p.; wreszcie ogłoszenia prywatne.

Wielka poczytność „Kuryera Warszawskiego" czyni go ***najodpowiedniejszem pismem dla wszelkich ogłoszeń.*** *Poczytność ta, którą co najmniej na kilka kroć sto tysięcy osób liczyć można, w połączeniu ze znakomitą liczbą exemplarzy, w jakiej Kuryer Warszawski się odbija, zapewnia ogłaszającym się w nim najlepsze rezultaty i robi owe ogłoszenia w porównaniu z innemi pismami, nietylko* ***najtańszemi*** *ale samo przez się* ***niezmiernie taniemi.***

Warunki prenumeraty:

(wraz z dodatkiem porannym)

w Warszawie: rocznie rs. **9,** półrocznie rs. **4** kop. **50,** kwartalnie rs. **2** kop. **25,** miesięcznie kop. **75.** Za odnoszenie do domu dopłaca się miesięcznie kop. **5.**

Na prowincyi i w Cesarstwie: rocznie rs. **12,** półrocznie rs. **6,** kwartalnie rs. **3,** miesięcznie rs. **1.**

Za granicą: rocznie rs. **18,** półrocznie rs. **9,** kwartalnie rs. **4** kop. **50,** miesięcznie rs **1** kop. **50.** Przedpłatę przesyłać można w rublach lub jakiejkolwiek bądź monecie kurs mającej.

Warunki ogłoszeń:

Małe ogłoszenia: za jeden *wyraz* po kop. 3 każdy raz; ogłoszenie minimum 30 kop.

Zwyczajne ogłoszenia: za jeden wiersz petitowy albo jego miejsce pierwszy raz 12½ kop. każdy następny raz 10 kop.

Nekrologia: za jeden wiersz 15 kop.

Reklamy: Za jeden wiersz garmontowy albo za jego miejsce pierwszy raz 30 kop., każdy następny raz 25 kop.

Nadesłane: za jeden wiersz garmontowy rs. 1.

Wszelkie zlecenia ogłoszeniowe lub prenumeracyjne tak z miasta jak i z prowincyi natychmiast są załatwiane.

Przedpłatę przyjmuje się w każdym czasie, licząc jej termin od każdego 1-go według kalendarza nowego stylu.

Adres: **Administracya „Kuryera Warszawskiego," Warszawa, Krakowskie-Przedmieście Nr. 40.**

W Łodzi kantor własny ul. Pasaż Meyera róg Piotrkowskiej dom Winera.

Kapelusze ubieram, Suknie i okrycia odrabiam wykwintnie, fason prześliczny, wykończenie wzorowe. Formy z bibułki sukien i okryć, z materyałów kraję i dopasowywam na poczekaniu. Suknie w 24 godzin wykończam bez zawodu. 179

KAZIMIERA

Nowogrodzka 37, róg Marszałkowskiej.
(Poprzednio przy Niecałej lat dwanaście).

Do nabycia w księgarniach podręcznik naukowy pedagoga **Reussnera**

„SAMOUCZEK"

Polsko - Francuski, najlepsza, najnowsza, najłatwiejsza metoda do bardzo prędkiego nauczenia się francuskiego języka **bez nauczyciela,** z objaśnieniem wymowy i akcentowania, **I-szy kurs** kop. 1.20, **II-gi kurs** kop. 3.20— **Gramatyka Polsko - Francuska,** kop. 1.20, lub całe dzieło w **47**-iu zeszytach, każdy po kop. 15 (pocztą kop. 18).

Wypisy Francuskie (Morceaux Choisis) ze słowniczkiem w 4 językach, zeszyty po 15 k. (pocztą 18 k.)

SAMOUCZEK Polsko-Rosyjski. Kurs Niższy 14 zeszytów, **Kurs Wyższy** 18 zeszytów po kop. 10 (pocztą kop. 13).

Na pocztę dopłata do każdego rubla po 25 k.

Na żądanie wysyła się **bezpłatnie** I-y zeszyt **„Samouczka" Francuskiego i Ruskiego.** Skład główny u autora **(Reussnera),** ul. **Złota № 6,** w Warszawie. 87

F. Pierzchalski

MAZOWIECKA 8

SKŁAD SZKŁA

krajowego i zagranicznego

WYBÓR DUŻY.
CENY PRZYSTĘPNE.
Własna Malarnia Porcelany.
Ogromny wybór przedmiotów do upiększenia.

123

KAUCIONOWANE BIURO NAUCZYCIELSKIE

profesorowej CLAVEL

w Warszawie, Warecka 10
poleca:
Nauczycieli, Nauczycielki,
Wychowawczynie i Bony.

Korespondencye z Francyą, Szwajcaryą, Niemcami i Anglią. 139